

PROGRAM TV NA TYDZIEŃ • „RELACJE” - RACHUNEK SUMIENIA • Co na rynku? • R. BENDER O ZMĘCZENIU SOCJALIZMEM • Katastrofa na Pojezierzu • Samobójstwa nastolatków • Zwierzenia NKWD-zisty • PORNO PO POLSKU • Kto przechytrył lisa? • W „Koncewiczówce”

TYGODNIK
WSCHODNI

PL ISSN 0660-8830

relacje

LUBLIN, 01-07 02.1990R.

NR 5(55)

CENA 800 ZŁ

POLACY DOSYĆ MAJĄ WSZELKIEGO SOCJALIZMU

Rozmowa z prof. Ryszardem Benderem,
wiceprezesem Tymczasowego Zarządu
Głównego Stronnictwa Pracy

— Reaktywowanie Stronnictwa Pracy 11 lutego 1989 roku spotkało się z zarzutem, że ta inicjatywa rozbiła jedność opozycji. Obie strony przygotowujące „okrągły stół” — rządowa i solidarnościowa — sbyły ten fakt milczeniem, a społeczeństwo też nie mogło się niczego dowiedzieć, wssak zastosowano cenzuralną blokadę informacyjną o SP. Wówczas ogłosił pan istnienie Stronnictwa z trybuny sejmowej. Inni, choćby PPS, nie mieli wówczas tak nie-sprzyjających okoliczności na starcie w nowych realiach.

— Przypomnijmy, że Stronnictwo Pracy nigdy nie zostało rozwiązane, jedynie w lipcu 1946 roku dokonało samozawieszenia działalności do czasu za-istnienia w kraju normalnych warunków dla funkcjonowania partii politycznych. Z początkiem 1989 roku jedenastu członków władz tamtego SP uznało, że takie warunki już istnieją i wspólnie z młodszymi, którym przekazali swoją sukcesję, powołali Tymczasowy Zarząd Stronnictwa z mecenasem Władysławem Siłą-Nowickim jako prezesem.

Pojawienie się SP wywołało ogromne zamieszanie, gdyż dekomponowało układ: władza i jednolita opozycja. Gdy cenzura zabroniła publikacji o SP, interpelowałem w Sejmie u pana Rakowskiego. „Niech się pan czepia innego, mnie cenzura nie podlega” — odpowiedział. Szef kancelarii Sejmu, pan Wórowski, odpowiedział z kolei, że regulamin nie przewiduje interpelacji do przewodniczącego Rady Państwa, któremu podlega cenzura, więc chyba nie z tego nie wyjdzie. Wobec tego — skoro nie ma adresata interpelacji — odczytałem ją w Sejmie wszystkim posłom. Uważałem, że to dobrze, iż cenzura nie skreśliła Jana Józefa Lipskiego i PPS, ale i nas nie powinna kreślić. Zapis zdjęty przed samymi wyborami, a tygodnik „Ład” mógł opublikować tę wiadomość po wielu tygodniach.

— Dla znacznej części społeczeństwa obecność chadecji na arenie politycznej i parlamentarnej byłaby czymś nie tylko naturalnym, ale koniecznym. Tymczasem udział chrześcijańskiej demokracji przy „okrągłym stole”, a także w wyborach 4 czerwca, wymagał wielu zabiegów i starań. Ani pan profesor, ani żaden z kandydatów chadecji nie uzyskał wystarczającego poparcia. Wyborcy nie zawierzili chadecji, która mogła liczyć na więcej, uważając na jej polskie tradycje i poparcie Kościoła.

— Istotnie tak było, ale sprawę należy wnikliwie przeanalizować. Były to wybory większościowe, a nie proporcjonalne, stąd stwierdzenie, że wyborcy nam nie zawierzili, nie jest w pełni adekwatne. Zachodnioniemiecka FDP ma poparcie 8—9 proc. elektoratu i to jej wystarcza, by pełnić ważną rolę w parlamencie jako trzecia siła, której brak u nas. W wyborach 4 czerwca uzyskanie nawet 40 proc. głosów nie gwarantowało przejścia. Poza tym były to wybory kurialne, znane z dawnej Galicji. Każda kuria wybierała swojego członka, przy czym było wiadomo, że każdy wybrany przechodził automatycznie. Podobnie było w ostatnich wyborach. Kuria największa, czyli bezpartyjni, miała najmniej mandatów. Jak w kuriach, gdzie głosowano na wskazanego

ciąg dalszy na str. 6



Fot. Waldemar Stępień

POJEZIERZE ODSTOJNIKIEM BRUDÓW

Rozmowa z doc. Krzysztofem Wojciechowskim
z Instytutu Nauk o Ziemi UMCS

— Coraz głośniejszemu mówi się o zagrożeniach Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego. 10 lutego na KUL odbył się zjazd założonego niedawno Stowarzyszenia Ochrony Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego. Atmosfera wokół Pojezierza jest alarmistyczna: ratuj, kto może! Spróbujmy zatem uściślić skalę i przyczyny tych zagrożeń.

— Na tę unikalną enklawę przyrody oddziaływują negatywnie zjawiska typowe dla zagrożeń ekologicznych w skali kraju, a także lokalne. Do pierwszych należą zanieczyszczenia powietrza, gleb i wód, od których nie jest wolna już niemal żadna część naszego kraju, oczywiście w stopniu różnym. Nieporównywalne są np. ilość pyłów i gazów spadających na Śląsk z tą ilością, która zagraża Lubelszczyźnie. A jednak larum dla Pojezierza jest w pełni uzasadnione. Powiem więcej — nawet spóźnione.

Nie jest ono zresztą nowością: niemal od dziesięcioleci podnoszą je specjaliści różnych dziedzin. Otóż Pojezierze jest wyjątkowo cenne, bo unikalne. I nie tylko krajobrazowo, przyrodniczo, na co przytoczy liczne dowody hydrolog, ichtiolog, ornitolog, florysta.

Jest ono wyjątkowo delikatne, wręcz bezbronne wobec agresji cywilizacyjnych. Chodzi głównie o stosunki wodne, o jeziora. Ich fenomen polega na niespotykanie długim cyklu pełnej wymiany wód. Gdy np. jeziora Pomorza całkowicie wymieniają swoje wody co kilkanaście a nawet co kilka lat, to takie nasze jeziora, jak Piaseczno, Bialskie, Krasne, Zagłębockie, dokonują tego co 70—90 lat i tylko Łukcze co 30 lat.

— I to jest powód „nadwrażliwości” jezior?

— Tak. Proces samoobrony, w postaci wydalania nagromadzonych zanieczyszczeń i związków, zachodzi niezwykle powoli. Następuje ich wielka kumulacja.

— Skąd pochodzą te zanieczyszczenia?

— Są to biogeny wypłukiwane z gleb, a pochodzące z nawożenia mineralnego. Sprawcą jest kanał Więprz.

Dokończenie na str. 8—9

relacje

ZE ŚWIATA

Jednostki Armii Radzieckiej opanowały sytuację w Baku. Aresztowano większość członków kierownictwa Frontu Narodowego Azerbejdżanu. Trwa rozbrajanie i składanie broni przez bojówki azerskie i armeńskie.

● W Rydze rozpoczęły się rozmowy pomiędzy przedstawicielami Frontu Narodowego Azerbejdżanu i ormiańskiego Frontu Ludowego w sprawie wymiany zakładników i innych kwestii humanitarnych. Spory graniczne nie będą przedmiotem spotkania. Inicjatorem i pośrednikiem pertraktacji jest lotewski Front Ludowy.

● Premier Tadeusz Mazowiecki przebywał z wizytą w Radzie Europy w Strassbourgu, gdzie wygłosił przemówienie na forum Zgromadzenia Parlamentarnego (Polska ma w Radzie Europy status specjalnego gościa). Odwiedził następnie Belgię i był gościem Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej.

● Eksport EWG jest cztery razy większy niż USA i Japonii.

● W swoją pierwszą zagraniczną podróż oficjalną udał się minister Jacek Kuroń. W Republice Federalnej Niemiec spotkał się m.in. z prezydentem i kanclerzem republiki.

● W NRD utworzono nowy rząd, w którym komuniści znaleźli się w mniejszości. Premier Modrow zawiesił swoją przynależność partyjną.

● Opozycyjne Nowe Forum przekształciło się w partię polityczną. Wybory w NRD, zaplanowane pierwotnie na maj, zostały przesunięte na 18 marca.

● Egon Krenz, niedawny lider NSPJ, został wydalony z partii. Jego długoletni poprzednik na tym etapie, Erich Honecker, po operacji w szpitalu cywilnym, został przeniesiony do szpitala więziennego.

● Trwają rozmowy pomiędzy NRD i Izraelem w sprawie nawiązania stosunków dyplomatycznych, zerwanych w 1966 roku. Przedstawiciele Tel Awiwu domagają się wypłacenia przez rząd ernerowski odszkodowań za zbrodnie hitlerowskie w wysokości miliarda dolarów.

● Rumuński Front Ocalenia Narodowego przekształcił się w partię polityczną. Z Rady Frontu wystąpiła Doina Cornea, a Dumitru Mazilu ustąpił z funkcji wiceprzewodniczącego. Oboje za ery Ceausescu byli represjonowani za działalność opozycyjną.

● W Bukareszcie doszło do burzliwych demonstracji zwolenników i przeciwników Frontu Ocalenia Narodowego. Członkowie i zwolennicy partii liberalnej, chłopskiej i demokratycznej zarzucali Frontowi centralizację władzy, totalitaryzm, „zamaskowany komunizm”.

● W kilku miastach rumuńskiego Siedmiogrodu doszło do starć między Rumunami i Węgrami. Zamieszki te nastąpiły po oświadczeniu prezydenta Francji Mitterranda, że Siedmiogród został Węgrom odebrany w 1918 roku. Ambasador Francji przeprosił Rumunów.

● Nicolae Ceausescu i jego żona Elena zostali potajemnie pochowani w Bukareszcie.

● Fragment książki „Czerwone horyzonty” Iona Pacepa, byłego ministra spraw wewnętrznych, szefa tajnych służb Rumunii, o małżeństwie Ceausescu („Polityka” nr 4/90):

— „Całe swoje życie poświęciłem Świątowej Rewolucji Proletariatu — taka była jego ulubiona definicja samego siebie. Był także dumny z faktu, że nigdy nie kupował niczego dla siebie w sklepie. I rzeczywiście, dopiero w listopadzie 1970 roku Ceausescu, głównie pod naciskiem Eleny, wszedł po raz pierwszy do domu towarowego. Zdarzyło się to w czasie jego oficjalnej wizyty w Nowym Jorku, gdzie przyjął zaproszenie od zarządu sieci domów towarowych »MACY'S« odwiedzania ich głównej placówki przy Herald Street. Ceausescu był zdumiony.

— Ile czasu zajęło im przygotowanie tego pokazu? — zapytał, gdy wróciliśmy do Misji Rumuńskiej przy ONZ.

— »MACY'S« jest jednym z największych domów towarowych świata — odpowiedział ostrożnie zdumiony ambasador.

— To znaczy, chodzi mi o zapelnienie sklepu całym tym towarem, który oglądaliśmy?

W końcu do ambasadora dotarło, że Ceausescu sądził, iż cały dom towarowy został wypełniony dobrami wyłącznie na pokaz dla niego. Zaczął więc wyjaśniać, opowiadając wszystko, co wiedział na temat »MACY'S«.

— Czy pręnuerujecie »Scinteie« (organ Rumuńskiej Partii Komunistycznej — przyp. »Relacje«) monsieur? — przerwała mu Elena podejrzliwie.

— Oczywiście, towarzysko. Każdy pręnueruje »Scinteie«.

— W takim razie powinniście ją czytać. Czytać ją, monsieur, i nauczyć się czegoś o Ameryce. Jest tam napisane czarno na białym, że amerykańskie domy towarowe mają tylko udekorowane wystawy, i że Amerykanie nie mogą kupić niczego, nim nie pożyczą pieniędzy. I że gdy tylko kupią coś, zwalniali ich z pracy

i wszystko zostaje im zabrane. To show, monsieur, wszystko to show — by zosłonić nędzę, by ukryć, że ludzie śpią na ulicach. Czytaj »Scinteie«, ty wiesniaku!”

● Występując w węgierskim parlamencie, premier Miklos Nemeth poinformował, że rząd radziecki zgodził się na wycofanie wszystkich oddziałów wojskowych z terenu Węgier. Przyznał również, że wiedział o prowadzeniu podsłuchów i inwigilacji działaczy politycznych przez służbę bezpieczeństwa. Z akcji tej składano mu systematyczne raporty.

● Odbył się zjazd „skurczonej” (do 82 tys. członków) Węgierskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej. Rządząca twardą ręką od 1956 roku, WSPR nie godzi się obecnie, aby koszty reform ponosiło społeczeństwo.

● Wyceniono majątek Komunistycznej Partii Czechosłowacji: 14 miliardów koron.

● Minister spraw zagranicznych RFN, Hans Dietrich Genscher, oświadczył, że przyszłe zjednoczone Niemcy nie mogą należeć do NATO.

● Kilkanaście osób zginęło w starciach z policją w jugosłowiańskim Kosowie, zamieszkanym przez Albanczyków. Demonstranci żądali zniesienia stanu wyjątkowego i zwolnienia więźniów politycznych.

● Zjazd Związku Komunistów Jugosławii zawisł obrady. Delegacja słoweńska opuściła salę obrad protestując przeciwko utrzymywaniu centralizmu demokratycznego i dotychczasowej formuły ZKJ. Słoweńcy zaproponowali luźną konfederację organizacji partyjnych.

● Czechosłowacja zobowiązała się do wypłacenia Polsce odszkodowań za zanieczyszczenia Odry.

● W Radzie Najwyższej Estonii zabrakło zaledwie dwóch głosów do usunięcia zapisu w Konstytucji przyznającego kierowniczą rolę partii komunistycznej w republice.

● Borys Jelcyń zakomunikował, że wycumie swoją kandydaturę w wyborach na przewodniczącego Rady Najwyższej.

● Zawieszona została działalność Bułgarskiej Partii Komunistycznej w siłach zbrojnych.

● Wiceprezydent USA, Don Quale, odwiedził Panamę. Spotkał się z nowymi władzami i ze stacjonującymi tam żołnierzami amerykańskimi. Zapowiedział pomoc rządu USA dla Panamy w wysokości miliarda dolarów.

● Kola wojskowe USA domagają się takiego zabezpieczenia komputerów, mających służyć usprawnieniu polskiej bankowości, aby nie mogły być wykorzystane w radzieckich systemach satelitarnych.

relacje

Z KRAJU

● Skończyła się 42-letnia epoka Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Na XI Zjeździe podjęto decyzję o rozwiązaniu partii. W trakcie obrad kongresu założycielskiego nowej partii „polskiej lewicy” doszło do rozłamu. 100-osobowa grupa delegatów (w tym 25 posłów) z Tadeuszem Fiszbachem na czele utworzyła Unię Socjaldemokratyczną. Pozostali uczestnicy zawiązali Socjaldemokrację Rzeczypospolitej Polskiej, której liderem jest Aleksander Kwaśniewski.

● Ze zjazdowo-kongresowych polemik:

T. Fiszbach — „Jeśli powstanie tylko jedna partia lewicy, to ja do takiej partii nie wstąpię”. „Jak przekonamy ludzi, że z soboty na niedzielę miliony komunistów stały się socjaldemokratami?”

A. Kwaśniewski — „Z tej sali wyjdą być może dwie, trzy nowe partie, ale musimy wiedzieć, że nie będzie to zlepioty, a nowy garnek”.

Szeregowy delegat — „Jeśli nie ma sposobu, żeby w nowej partii nie było Siwaków, to musi być pewność, że będzie większość Kubiaków”.

Przedstawiciel Ruchu 8 Lipca — „Wyjdziemy stąd jako jedna partia — neopezetpeer. Jako Ruch przegramy”.

M. Rakowski — „PZPR nie sprostala wyzwaniu epoki i dlatego musieliśmy przegrać. Stała się partią rozdzielającą etaty i beneficja”.

● Przed Salą Kongresową, gdzie obradowali najpierw komuniści, potem socjaldemokraci, doszło do demonstracji młodzieży. Policja zachowywała się powściągliwie, mimo że została obrzucona kamieniami i butelkami z benzyną.

● W Gdańsku doszło do szturm Federacji Młodzieży Walczącej na pusty budynek KW PZPR. W wyważeniu drzwi i wybijaniu szyb uczestniczyli również starsi gdańszczanie, a nawet kobiety. Przystąpiono do okupacji gmachu. Z niewiadomych powodów policja nie interweniowała.

● Stoczną Gdańską opuścił jej dotychczasowy patron — Włodzimierz Lenin.

● Rząd zapowiedział wprowadzenie dotacji do nawozów sztucznych i hodowli zarodowej dla rolników. Młodzi rolnicy przejmujący gospodarstwa będą zwolnieni na 5 lat od podatku rolnego. Zostanie zmniejszone dotychczasowe wysokie oprocentowanie kredytów.

● Inicjatorzy ustawy o nacjonalizacji majątku byłej PZPR wycofali się ze swojego projektu. Sejm odrzucił senacką poprawkę do ustawy o obowiązkach i prawach posła, ograniczającą możliwość zakładania klubów poselskich poniżej 20 posłów. Pomysłodawcy poprawki motywowali ją tym, że to właśnie małe kluby poselskie doprowadziły do rozkładu politycznego

II Rzeczypospolitej. Dość to oryginalne podejście do historii 20-lecia i przyczyn zamachu majowego.

● W siedzibach komitetów partyjnych w całym kraju setki osób odbiera swoje akta personalne, dowiadując się przy tej okazji o interesujących szczegółach swej biografii. Tu i ówdzie dokumenty partyjne i służb bezpieczeństwa uległy „samospaleniu”.

● Zdzisławowi Najderowi, skazanemu zaoznie w stanie wojennym na śmierć za szpiegostwo i pozbawionemu obywatelstwa, zwrócono paszport. Podczas uroczystego wręczenia Z. Najder powiedział m.in.: „Pozbawiono mnie obywatelstwa PRL, a teraz jestem obywatelem Rzeczypospolitej Polskiej”.

● W Lublinie odbył się ogólnopolski sejmik w sprawie naprawy polskiej szkoły zorganizowany przez Sekcję Oświaty i Wychowania NSZZ Solidarność Regionu Środkowo-Wschodniego.

● „Trybuna Ludu” zmieniła nazwę na „Trybuna Kongresowa”. Brak informacji na temat zamiaru zmiany nazwiska przez Jerzego Majkę.

● „Sztandar Ludu” nazywa się teraz „Dziennikiem Lubelskim. Gazeta Poranna Regionu Środkowo-Wschodniego”. Przypuszczamy, że „wstępniaka” nie pisał jednak Stanisław Węglarz.

● Sentencja tygodnia: „Nic w przyrodzie nie ginie. Dowody na to są nowe. Zamknięto domy publiczne, otwarto wczasowe” (Jan Sztudynger).

(De-Wu)

LIKWIDACJA pisma to śmierć pisma, a na taką okoliczność trzeba się dobrze przygotować. „Relacje”, o czym pisałem w poprzednim numerze, zagrożone są likwidacją i w związku z tym uradziliśmy w zespole redakcyjnym, że w ramach przygotowań trzeba zrobić porządek i rachunek sumienia.

Porządkujemy tedy biurka i nasze cztery pokoje z kuchnią w korytarzu oraz halę maszyn, która tam jest, gdzie kiedyś stała wanna. Zaprzyjaźniony z redakcją trefniś doradzał nam zresztą nieraz, aby wannę przywrócić, bo bez wody w robocie dziennikarskiej daleko nie popłyniemy. Zobaczymy, czy miał rację.

Porządki przeprowadzamy sami, ponieważ ci, którzy wielokrotnie obiecywali zrobić z nami porządek, nie chcą teraz o tym pamiętać, a ci, którzy dopiero obiecują — sami nie znają dnia ani godziny. Jeśli chodzi natomiast o rachunek sumienia, to oczywiście, że nikt go za nas nie zrobi (lepiej), a grzeszyliśmy myślą, mową i uczynkiem, ile się dało, dźwigając przy tym

garb grzechu pierworodnego.

Urodziliśmy się w Lublinie, w mieście, które ma bardzo ciekawą metrykę historyczną i wcale niechętnie różni się od parędziesiąt. Licho uparło się natomiast na lubelską prasę i lichota znaczny jej najnowszemu dzieje. Andrzej Paczkowski, badacz sumienia i dlatego zakontraktowany przez Instytut Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk, wydał w 1980 roku monumentalne dzieło pt. „Prasa polska w latach 1918—1939” (PWN, W-wa).

Na stronie 426 A. Paczkowski pisze: „Liczba pism wydawanych w ciągu całego roku wzrosła w latach 1919—1937 blisko trzykrotnie (dokładnie stan z 1937 roku wynosił 298 proc. stanu z 1919 roku). Nie wszystkie jednak województwa utrzymały takie wysokie tempo. Poniżej wskaźnika ogólnokrajowego znalazły się: lubelskie (które jako jedyne wydawało w 1937 r. mniej pism niż w 1919 r.). Parę stron dalej znajdziemy dwie dalsze uwagi, potwierdzające wyjątkową mizery lubelskiej rzeczywistości prasowej: „Na terenie województw centralnych w latach 1922—1923 nastąpiło głębokie załamanie, z którego niektóre rejony (Lubelszczyzna) praktycznie już się nie podźwignęły [...] Najbardziej podatna na tendencje kryzysowe była prasa Lubelszczyzny, Nowogródzczyzny i Tarnopolszczyzny, gdzie regresy lub stagnacje powtórzyły się osmiokrotnie”.

Ciekawe, prawda? Idźmy więc dalej. Z zamieszczonych w pracy zestawień tabelarycznych wynika, że w 1937 roku w województwie lubelskim było dużo mniej tytułów prasowych niż w kieleckim, białostockim, wołyńskim i stanisławowskim. Pozwoliłoby „pokonać się” (in minus) tylko tak egzotycznym obszarem jak Tarnopolskie, Poleskie i Nowogródzkie.

Ki diabeł tu maćcił? Pewnie była ich cała sfera, ale jakie wymowne jest zestawienie statystyczne z 1979 roku, obrazujące wykształcenie rolników w poszczególnych rejonach kraju. Otóż bez wykształcenia, z nieukończonym wykształceniem podstawowym i z wy-

POPYT się zmniejszył z uwagi na ceny — słyszałem za każdym razem, gdy pytałem kolejnych dyrektorów o wysokość obrotów w handlu. Wyglądało na to, że przed firmami, zajmującymi się produkcją i sprzedażą żywności, zawisł krach. Tak jakby ludzie nagle przestali jeść, ściśnięci aż do bólu żołądka cenowym passem. Gdyby nie to, że tylko nieliczni handlowcy posiadają hurtownie oraz, że się ogranicza zamówienia u producentów, to lubelskie magazyny byłyby dziś zapelnione niczym w cudownej bajce, gdzie są rzeki mlekiem i miodem płynące.

Wydawać by się mogło, że bez trzeba człowiek obcy się nie potrafił. A jednak słowa Bogdana Zalewskiego, dyrektora Państwowego Przedsiębiorstwa Piekarskiego w Lublinie, świadczą o czym innym:

— Nasze pieczywo jedzą mieszkańcy Lublina oraz okolicznych miejscowości, m.in. Lubartowa, Łęcznej i Wólki. Jesienią ub.r. wypiekaliśmy 20 ton pieczywa białego, a dziś już tylko połowę tej ilości. Chleba wyrabiamy teraz o 5—6 ton mniej. Również zmniejszyła się ilość tzw. galanterii cukierniczej. Na przykład jesteśmy w stanie ro-

kształceniem nie ustalonym mieliśmy 51,4 proc. „rolniczą populacją”, podczas gdy np. w województwie poznańskim odsetek ten wynosił 15,7 proc., a w kieleckim — też na przykład — 46,3 proc.

Więc już „mniej więcej” wiadomo, jaki diabeł tu mać i mać, a dociekliwym chętnie wskażę przy okazji także inne przejawy oddziaływania szatańskiego pomiotu. Także — na przykład — w lubelskim środowisku akademickim, które liczne jest, ale czegoś nieciekawego świata, co po raz pierwszy ustalałem na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych w takich publikacjach jak: „Co czyta student?” i „Kolokwium dla asystenta” (na łamach lubelskiego „Sztandaru Ludu”). Dzisiaj ówczesni studenci i asystenci są zapewne profesorami, dyrektorami, kierownikami, a mówią krótko: inteligencją, Lubelską inteligencją, lubelskiego chowu.

„kowskiego dymanie u krzyża”. Tytuł to rzecz gustu, ale poglądy — nie! A ja atakowałem w imię swoich niesłusznych poglądów sprzed Grudnia i „z po Grudnia”, które dzisiaj wydają się jakby słuszne. Pora zadać pytanie: czy atakując, byłem w znowie? Czy gotowałem zamach na „Kamień”? Kto znajdował dowód, że tak było — niech mi go dostarczy. Jeżeli nie — niech już nie szczeka.

Narodziny „Relacji”

Mieliśmy nosić nazwę „Tygodnik Wschodni. Unia”, bo chcieliśmy ustalić sobie rym z podglebiem historycznym miasta i regionu. Tytuł jednak „nie przeszedł”, bo w końcu 1988 roku wydawało się niektórym, że my pewnie zechcemy uprawiać rewizjonizm geopolityczny i wzbudzać będziemy narodowe waśnie. Intencje nasze były dokładnie odmienne, ale autor donosu do najwyższych władz nie był łaskaw

Nie ogłaszaliśmy manifestów i apeł. Nie trąbiliśmy, że „chodźcie z nami” — bo my jesteśmy otwarci i postaramy się o taki stopień niezależności sądów, jaki daje słuźenie „prawdzie”, a nie koniunkturze. Uznaliśmy bowiem, że programem pisma jest jego zawartość, treść jego publikacji i plan myślowy tych publikacji, a nie programowe odezwy.

Już w drugim miesiącu istnienia pisma przyszli do nas: historycy i ekonomiści, socjologowie i politologowie, literaci niefikcjonalni i ludzie całkiem młodzi, którzy jeszcze nie mają szufladek. Szybciej, niż można było się spodziewać, powstało środowisko pisma, w którym znaleźli się reprezentanci KUL i UMCS, ci z lewa i ci z prawa. Szybciej więc, niż zakładaliśmy, pojawiły się zarzuty, że „Relacje” są schizofreniczne, niespójne, a ci, którzy mieli pilnować, żeby były „zdrowe” i „spójne”, zaczęli na nas tupać. Naj-

ta, że odrzucamy, jako czynność jałową poznawczą, uprawianie historii opartej na przeświadczeniach, a nie na faktach choćby najmniej wygodnych, bo tylko prawda — tu już przywoływałem Norwida — daje nadzieję. Nadzieję na prawdziwe pojednanie ze Wschodem i Zachodem i nadzieję na zadowolenie nas, Polaków, u siebie. W swoim prawdziwym losie, a nie w świecie utydy. W zgodzie z sąsiadami, których, nic na to nie wskazuje, pewnie sobie nie zmienimy. Dlatego na łamach „Relacji” w ciągu tylko jednego roku ukazały się 74 publikacje poświęcone problematyce pogranicza historycznego, narodowego, kulturalnego i religijnego — w zgodzie z naszym podtytułem — wschodniego pogranicza Polski.

Tu — dygresja. Rozlega się po Polsce wołanie o ochronę naturalnego środowiska człowieka, ale wołanie to dotyczy środowiska przyrodniczego. To ważne, ale po stokroć ważniejsze jest ludzkie środowisko człowieka: „przyroda” jego zbiorowych doświadczeń, jego wartości, jego przekonania i postaw. Skażenie tego środowiska jest o wiele groźniejsze.

I dygresja do dygresji: jeżeli człowiekowi potrzebne jest poczucie tożsamości historycznej, politycznej, psychologicznej itd., to rozmywanie konotacji tej tożsamości, wydziedziczenie go z wiedzy o uwarunkowaniach własnego losu czymże jest? Nie waham się użyć tego słowa: zbrodnią przeciw świadomości, a — jak wiadomo — świadomość przesądza o istocie człowieczeństwa. Więc: zbrodnią przeciw człowiekowi.

Dlatego było u nas za dużo historii nieoczywistej, rewizyjnej; historii, która wtydy ma ludzki wymiar, gdy jest sekweną żywych i umarłych. Prawdziwych żywych i prawdziwych umarłych.

Co robiliśmy jeszcze?

Dużo. Staraliśmy się towarzyszyć polskim przemianom i pochylić się nad ludzkimi losami. Staraliśmy się robić to w zgodzie z wymogami naszej profesji, dzięki czemu — proszę mnie skarcić, jeśli żartuję — dopracowaliśmy się całkiem dobrych reportaży, a więc prawdziwych opowiadań o prawdziwych losach.

Uzyskaliśmy też to, co intrygowało nas najbardziej, a mianowicie odpowiedź na pytanie, „czy w Lublinie można zrobić pismo?”, i to, co nas najbardziej cieszy, a mianowicie zdziwienie w Polsce, że Lublin jest miastem, w którym uprawia się prawdziwą naukę, interesującą refleksję humanistyczną i niezłe dziennikarstwo. Było o tym m. in. w „Życiu Warszawy”, w „Życiu Literackim”, w „Zdaniu”, w telewizyjnej Panoramie Dnia i nie tylko.

Dzisiaj poddani próbie nerwów, skazani na kaprysy niewiedzy i braku wyobraźni, poniewierani skokami cen papieru i usług poligraficznych, zmuszeni do szokowania Czytelników coraz to inną ceną „Relacji” (od sierpnia do dziś zwiększoną po raz piąty), z troskami tak samo jak wszyscy, czy lepiej kupić bułkę bądź paczkę papierosów, czy pismo zaspokajające ciekawość świata — czekamy.

Jeżeli nas zlikwidują — spróbujemy się odrodzić, jeżeli nie — będziemy nadal robić swoje pismo, które chciało być niezależne od koniunktury i które, jak dobrze pójdzie, takie nadal będzie.

„RELACJE” - RACHUNEK SUMIENIA

Franciszek Piątkowski

W pracy A. Paczkowskiego zaintrygował mnie także istotny szczegół. Otóż badacz ten nie uznał za stosowne wspomnieć ani razu, choć tom jest cpastry i ma 534 strony druku, o chełmskiej „Kamieniu”. Pismo to — jak zauważa August Grychowski w książce „Lublin i Lubelszczyzna w życiu i twórczości pisarzy polskich” — opierało się na trzech zasadach: na umiarkowanym awangardyzmie, lewicowości społecznej i politycznej oraz na kulturalnym słowianofilizmie.

„Kamień” — tak twierdził niektórzy — zlikwidowaliśmy my, co niech nie znaczy, że to przez nas skończyła się awangarda, lewica i słowianofilstwo, ale jest to dobry moment, aby omówić nasze inne grzechy.

Na chwilę wróćmy do „Kamienia”. Z uporem godnym być może lepszej sprawy twierdziłem niegdyś i twierdził będę nadal, że „Kamień” w swoim lubelskim wydaniu nie została zlikwidowana przez grupę „Relacji”, lecz zlikwidowała się sama. Na tle tytułów podobnych — „Życia Literackiego”, „Faktów”, „Odgłosów” — wyglądała po prostu marnie. To po pierwsze. Po drugie zaś dobrze chyba się stało, że pobrana z miasta PKWN do Lublina — została miastu PKWN zwrócona po czterdziestu latach (czterdzieści lat temu wszystko, co pochodziło z miasta PKWN, było bardzo dobre).

Oczywiście można ulepić i taką konstrukcję: skoro Piątkowski bezpardonowo atakował „Kamień” za jej bezpardonowe ataki m. in. na „Gardzienice”, „Akcent”, teatry alternatywne i tym podobne nieortodoksyjne zjawiska oraz nieortodoksyjnych ludzi, to pewnie Piątkowski chciał „Kamień” zniszczyć. Zaiście, tak było: w „Sztandarze” poświęciłem „Kamieniu” trzy dość cięte publikacje („Mięt na czarownicę albo krytyk pościgowy”, „Inteligent jako wahacz”, „Wizja kultury według „Kamienia”).

„Kamień” w związku z tym obwieściła, że wie dobrze, co ten autor (tzn. ja) pisał i mówił przed Grudniem, a potem sponiewierała mnie w tekście pod wielce figlarnym tytułem „Piątkowskiego dymanie u krzyża”.

Wychodzi więc na to, że ludzie mniej kupują w ogóle, niezależnie, czy to

zasięgnąć u nas języka i dał nam po oczach. Chyba po raz ostatni.

Chcieliśmy pieczętować się „Unią” także z innego powodu. Zapisaliśmy to zresztą w założeniach programowych pisma, a chodziło nam o rozwalenie murów, jakie podzieliły ludzi w Polsce; o ujawnianie odmiennych poglądów na świat i Polskę; a także — o rozbijanie lokalnych „murków”. Takich, jak choćby ten, który wyznaczył w Lublinie sytuację określaną potocznie jako „KUL a reszta świata”, bo chcieliśmy służyć ujawnianiu bezsprzecznych wartości bez względu na charakter miejsca, w jakim one powstają.

Ducha tych założeń przenieśliśmy do „Relacji”. Od razu. Nie czekając na Okragły Stół, na czerwcowe wybory, na orła w koronie i na osłabienie czujności strażników świętego ognia ideologii. Przypominam: 19 stycznia 1989 roku ukazał się pierwszy numer Tygodnika Wschodniego „Relacje”, w którym zapisałmy, że chcemy być pismem aktualnym, lokalnym i odważnym.

Co z tego wyszło?

Lublin — jak go pamiętam z czasów studiów, z pierwszej pracy i od 1982 roku, po przymusowym opuszczeniu innego miasta we wschodniej Polsce — był stolicą potrójnego zagłębia: folklorystycznego, partyzanckiego i węglowego. Oficjalny wzorzec przyjętej tu kultury intelektualnej i artystycznej sprowadzał się do konserwacji wartości, a nie sprzyjał kreacji wartości. Wydawało się też, że jest to miasto senne, nieambitne, przeciętniackie. Nie liczyliśmy więc na to miasto i staraliśmy się tak dobrać w zespole, aby pismo nie uskarżało się na brak tekstów. Chcieliśmy go redagować i pisać sami, obiecując sobie przy tym, że nie dopuścimy, aby stało się ono biurem adresowym lokalnych środowisk twórczych. Takim biurem, które kompensuje tym środowiskom ich nieobecność na łamach prasy ogólnopolskiej i brak własnych książek wydawanych przez oficyny uznawane za ogólnopolskie.

Grzeszyliśmy. Śmiertelnie.

— Na dzień dzisiejszy najgorzej sprzedaje się nam masło. „Idzie” za ledwie 60 proc. tego co przed rokiem. Czyżby ludzie porobili tak znaczne zapasy, czy też po prostu rezygnują z tego wyrobu, zastępując go może innym? — tego nie wiem. Równie słabo sprzedaje się mleko skondensowane, w puszkach i w proszku. Mleko butelkowe ludzie kupują tak: jeżeli nie ma zwykłego, to dopiero biorą peł-

Dokończenie na str. 14

głośniej w kwietniu 1989 roku. Zyczyliwi donosili nam, kto biega z „Relacjami” w rękę po najważniejszych w mieście korytarzach, a „zyczyliwi” — biegali. My zaś napominaliśmy się, że mamy obowiązek pluralizmu i tolerancji, że groźniejsze jest dla społeczeństwa wyjątkowanie infrastruktury społecznej, ekonomicznej i psychospołecznej niż jałowe tupanie na nas.

Po prawdzie — i to odnotowujemy w jakże zmienionej sytuacji — tupali ci przede wszystkim, od których mniej zależało nasze istnienie.

Zarzuty były różne. Formułowała je nie tylko władza, ale także — sporadycznie — czytelnicy.

Panie, za co?

Za historię — przede wszystkim. Ze jej za dużo na naszych łamach i że jednostronnie prezentowana jest.

Ano, dużo jej było. Na początek poszła seria publikacji pt. „Jaka Polska, jaka władza?”, w której dr Janusz Wrona uparcie przesuwał datowanie „stalinowskiego ukąszenia” z roku 1948 na rok 1944. Rewizjonizm więc? Tak, bo nauka jest z istoty rewizyjna. Rewizji poddaliśmy także — w publikacjach autorskich, w listach i wreszcie w panelu redakcyjnym — oceny i samą postać Bolesława Bieruta. Dodajmy, że byliśmy pierwszym pismem w Lublinie (i wśród pierwszych w kraju), które oddało swe łamy na ten cel, a dominantą w debacie była dyskusja pod hasłem „Bierut: mąż stanu, agent czy wykonawca?”. Potem drukowaliśmy „Katyń” Leszka Piątkowskiego i wieloodcinkowy dokument pt. „Od łagrów Komi do winnic Italii” pióra Wacława Flisińskiego. Potem była „Armia Czerwona na Lubelszczyźnie” pióra Zbigniewa R. Muszyńskiego, cykl o problemach po raz pierwszy podniesionych w sposób tak wyczerpujący na łamach polskiej prasy. Ostatnio — „Owczarnia 1944” pióra dr. Zbigniewa Gnata-Wieteski i „Cichociemni na Lubelszczyźnie” pióra Wojciecha Kozłowskiego. Dlaczego tak jednostronnie? — pytano. Dlaczego tylko o przewinach lewicy, agresji ze wschodu i martyrologii na wschodzie? Odpowiadaliśmy: nie tylko i są na to dowody. Ale dopowiadaliśmy też, że nas nie interesuje historia o czywis-

bić dużo ponad 20 tys. paczków dziennie, a robimy tylko 15 tys. sztuk. Mimo to nie idą. Trudno taki stan tłumaczyć konkurencją ze strony prywatnych. Myślę, że nasze wyroby nie są gorsze niż te z piekarni prywatnych, a za pewnością są tańsze. Przyczyn należy raczej szukać nie u producenta, lecz u klienta.

Wychodzi więc na to, że ludzie mniej kupują w ogóle, niezależnie, czy to

RYNEK ŻYWNOŚCI

Marek Podgajny

prywatny produkt, czy państwowy. A skoro wciąż mają takie same potrzeby, żołądki i apetyty, to czynione na powszednim chlebie oszczędności mogą wzbudzać niepokój.

Mówiło się o wyzwoleniu rynku, konkurencji. Mija czas, płyną kolejne miesiące urynkowania, a wszystko jak drożało, tak nadal drożeje: zarówno u producenta państwowego, spółdzielczego, jak i prywatnego. Nikt nie chce być konkurencyjny! Każdy ogląda

się za jak największym zyskiem.

W mleczarstwie zaś trwa normalna rotacja. Towary świeże, prosto z produkcji trafiają pod dachy magazynów, wypierając do sklepów wcześniejsze zapasy. Konrad Jaroszyński, dyrektor Zakładu Obrótu Towarowego Wojewódzkiej Spółdzielni Mleczarskiej w Lublinie, zapewnia jednak, że wszystko jest jak najbardziej zdatne do spożycia:

— Na dzień dzisiejszy najgorzej sprzedaje się nam masło. „Idzie” za ledwie 60 proc. tego co przed rokiem. Czyżby ludzie porobili tak znaczne zapasy, czy też po prostu rezygnują z tego wyrobu, zastępując go może innym? — tego nie wiem. Równie słabo sprzedaje się mleko skondensowane, w puszkach i w proszku. Mleko butelkowe ludzie kupują tak: jeżeli nie ma zwykłego, to dopiero biorą peł-

Dokończenie na str. 14

RYNEK KSIĄŻKI

Violetta Krasnowska

BIC na alarm, pisać o zbliżającej się katastrofie kultury w momencie, gdy najbardziej absorbującym tematem jest cena chleba; mówić o przyszłym pokoleniu jako o zgrai półalfabetów, gdy problemem jest przetrwanie — może wydawać się niektórym grubym nietaktem; pisanie o papierze gazetowym do rzeszy spragnionych raczej papieru toaletowego — jego marnotrawstwem.

To prawda, książka nie należy do produktów pierwszej potrzeby. Nie jest niezbędna do życia, a przy tym staje się coraz droższa. Kilkakrotny w ciągu roku wzrost ceny papieru (np. najgorszy papier V klasy — szary, kosztuje dziś 8 tysięcy zł), pięciokrotna podwyżka cen usług poligraficznych i ogromne koszty dystrybucji wyciskają na cenę swoje piętno. Na przykład wydana przez Wydawnictwo Lubelskie we wrześniu ubiegłego roku popularna książeczka dla dzieci „Bajeczki z o-

brakami” Sutiejewa (160 str.) kosztowała 1100 zł, w tym roku za jej kolejne wydanie zapłacimy około 6 tysięcy! Wydane przez to samo wydawnictwo w serii dzieł Marii i Jerzego Kuncewiczów — „Dwa księżycy” w grudniu kosztowały jeszcze 2300 zł, ale w styczniu „Cudzoziemka” już 6 tysięcy złotych. Zresztą wystarczy przejść się po księgarniach...

Czytamy mało, będziemy czytać jeszcze mniej. Coraz częściej życie będzie nas stawić przed dylematem: książka czy dwie kostki masła i chleb. Wydawnictwa już dziś ocierają się o granicę bankructwa. Dotyczy to również obu lubelskich: Wydawnictwa Lubelskiego i Krajowej Agencji Wydawniczej.

Przygotowany w zeszłym roku przez KAW plan wydawniczy, opiewający na 23 pozycje, jest już nieaktualny. Dyrektor Grzegorz Protasiewicz stwier-

Dokończenie na str. 14

„Boże, jak ja mam to wszystko zrozumieć...”

DLACZEGO?!

Izabella Wlazłowska

RODZICE 17-letniej Ani Żurek, uczennicy III klasy Zespołu Szkół Ogólnokształcących są nauczycielami. Obydwoje pracują w szkole, uczą i wychowują pokolenie swojej córki.

Ojciec Ani: „Nie sprawiała kłopotów wychowawczych. Była grzeczna, pracowita. Nigdy nikt jej nie bił, nie karał. Nie wiem, dlaczego córka bała się powiedzieć nam, rodzicom, o niepowodzeniach w szkole”.

Matka Ani: „Według mnie, córka załamała się psychicznie. A przyczyną były oceny niedostateczne, o których nas nie poinformowała, bo chciała ten fakt ukryć przed nami, zataić”.

Mieszkający nieopodal ich domu sąsiad: „Znam małżeństwo Żurków. Żyli zgodnie, dbali o dzieci i o dom. Dzieci chodziły dobrze ubrane, zadbane. Według mnie, miały za dobrze”.

19-letni Mietek Drag: „Ania była moją koleżanką jeszcze ze szkoły podstawowej. Miała dużo czasu dla siebie. I dużo czasu na naukę. Często jeździła na mecze piłki ręcznej, bo grała w szkolnej drużynie. Wyjeżdżała też do Radawca, gdzie trenowała skoki spadochronowe i latała szybowcem. Była ładna i ambitna”.

Zosia — serdeczna koleżanka Ani: „Rodzice byli dla niej dobrzy. Żadnej pracy jej nie dawali. Nie chodziła tak jak ja w pole. Jedynie pomagała czasami matce w kuchni. O matce Ania mówiła, że jest dobra, ale ona jej nie wierzy, tzn. że nie może matce powiedzieć o swoich sekretach. Niedawno Ania powiedziała mi, że ma niedostateczną ocenę z języka polskiego i z angielskiego, i że jak się ojciec o tym dowie, to ona nie pojedzie na ferie do

Gdańska, tylko za karę pozostanie w domu. Ania chyba nie za bardzo przejmowała się ocenami niedostatecznymi bo zarówno w I i jak i w II klasie też miała oceny niedostateczne na okres”.

Tego dnia Zosia wyszła wcześniej z domu i zanim poszła na przystanek PKS, zajrzała do mieszkania Ani. Była 7.20. Anka prasowała właśnie czarną spódnice. Na nogach miała czarne rajstopy. Opodal stały czarne buty, a na poręczy krzesła wisiała czarna apaszka.

— Zosiu, poszukaj mi w szafie czarnej bluzki — poprosiła koleżankę — bo nie wiem, gdzie ona jest.

— A co ty tak na czarno idziesz do szkoły? — zdziwiła się Zosia.

— No, wiesz, chcę, żeby wszystko było „pod kolor” — odpowiedziała Anka.

Czarna bluzka z batystu znalazła się. Anka skończyła prasowanie.

— Lecę, bo nie zdążę na swój autobus. — Zosia zabrała torbę z książkami i wybiegła z mieszkania koleżanki.

Tego dnia Ania nie wsiadła do autobusu, którym zazwyczaj jeździła do szkoły. Wieczorem rodzice Ani powiadomili Rejonowy Urząd Spraw Wewnętrznych, że ich córka nie wróciła ze szkoły. W mieszkaniu znaleźli list adresowany do Zosi.

Kiedy Zosia rozdarła kopertę, przeczytała: „Przepraszam, że to zrobiłam, ale nie miałam innego wyjścia. Nie mogłam dalej żyć w kłamstwie. Tatuś by mi nigdy nie wybaczył, że mam dwie dwójki na półroczu i że nic nie powiedziałam o tym, że przez ostatnie dwa tygodnie nie chodziłam do szkoły. Ja nie mogłabym znieść tego, że jest na mnie obrażony. Bardzo, ale to bardzo ich kocham. Możesz to im powiedzieć, wtedy może lżej to przeżyją. Próbowałam wszystkich sposobów, ale mi nie wychodziło. Przez powieszenie mi wyjdzie”.

Następnego dnia zwłoki Ani znaleziono w pobliskim wąwozie. Powiesiła się na drzewie.

Był 3 lipca — pierwszy tydzień wakacji. Darek zdał do trzeciej klasy Liceum Plastycznego. Tego dnia długo wylegiwał się w łóżku i słuchał muzyki rockowej. Obok leżały książki Edwarda Stachury, które podsuwała mu do czytania matka. Czytał chętnie. Matka — nauczycielka z wyższym wykształceniem — dumna była z syna wyróżniającego się spośród rówieśników tym, że rozczytywał się w modnym ostatnio autorze, że pod tym względem „odstawał” od kolegów. Jej pomysłem było też posłanie Darka do Liceum Plastycznego. Widziała w synu przyszłego artystę.

Ojciec Darka: „Syn był domatorem. Nigdy nie mieliśmy z nim żadnych kłopotów wychowawczych. Był dzieckiem uczuciowym. Mieliśmy z nim bardzo bliski kontakt, więc na pewno byśmy zauważyli, że dzieje się z nim coś niedobrego. Nie był w ostatnim czasie przygnębiony. Nie miał kłopotów. Nie zauważyliśmy z żoną, aby pił. Nie mieliśmy z nim żadnych scysji. Nie wiem, co mogło być przyczyną tego, co się stało. Nie dopuszczamy do siebie z żoną myśli, że to mogło być samobójstwo”.

Matka Darka: „Ja wiem, że to było morderstwo. Nie wierzę w jego samobójstwo, miał zbyt dużo planów na najbliższą przyszłość”.

Andrzej, jego bliski kolega: „Darek był skryty i bardzo wrażliwy. Wszyst-

ko dokładnie analizował. Był indywidualistą. Nie słyszałem, aby coś wahał albo sobie wstrzykiwał. W szkole miał kłopoty z przedmiotami zawodowymi, takimi jak rysunek, malarstwo, rzeźba, mebel artystyczny. Nie należał na pewno do najzdolniejszych, jeżeli chodzi o profil szkoły, jaki wybrał. Z matematyki i polskiego szło mu dobrze”.

Staszek Zych: „W nauce ostatnio pomagała mu polonistka z jego szkoły. Darek wyrażał się o niej tak, jakby była jego drugą matką. W czerwcu zwierzał mi się, że ma jakieś kłopoty z rodzicami. Pomiędzy nim a rodzicami dochodziło do sprzeczek. Darek pił sporadycznie. Widziałem go podpiętego, ale nie pijanego. Ostatnio, jak pił alkohol, to stawał się raczej posepny. Mówi się, że upijał się na smutno. Widać było, że coś się z nim dzieje. Ostatnio też bardzo dużo mówił o śmierci. Interesowało go życie pozagrobowe. Według mnie, był słaby psychicznie”.

Wychowawca internatu, w którym podczas roku szkolnego Darek mieszkał: „Nikt ze strony rodziców lub też wychowawców klasowych liceum w ciągu trzech lat jego pobytu w internacie nie interesował się uczniem. Nie interesował się jego pilnością i zachowaniem, chociaż w poprzednich klasach miał trudności w nauce. Był chłopcem wrażliwym, zajmującym się poważną lekturą książek filozoficznych”.

Irena, dziewczyna Darka: „Poznałam go niedawno, w maju. Tworzyliśmy paczkę. Spotykaliśmy się w soboty i niedziele u Iwony. Darek przychodził też do mnie do domu. Nie współżyliśmy ze sobą. Nasza znajomość miała charakter przyjaźni. Wiem, że z rodzicami nie miał właściwego kontaktu. Nie dogadywał się z nimi. Sądził, że wszystko, co im mówił, mogło być później wykorzystywane przeciwko niemu. Wydaje mi się, że Darek nie lubił swojego domu. Pił alkohol, ale nie widziałam go pijanego. Bardzo dużo mówił o śmierci. Dla niego śmierć samobójcza była oderwaniem się od kłopotów. W ostatnich dniach czerwca byliśmy na biwaku. Zaraz potem powiedział mi, że chciał się wtedy powiesić, ale z powrotem wciągnął się po drzewie do góry, bo pomyślał o nas. Ostatnio nasze stosunki trochę się

Mamy za dużo o 400 tys. lisich skór

nej hodowli, ale niejednokrotnie poprzedzony latami żmudnych zabiegów i odpowiedniego selekcjonowania stada zarodowego. Zabiegów tym trudniejszych, że udomowienie lisa, tak do końca, nigdy się właściwie nie udało. Pozostał zwierzęciem na pół dzikim. Dziecięce przekształcanie jego psychiki pod wpływem zmiany warunków środowiskowych i sztucznego doboru ograniczyło się praktycznie do barwy futra i utraconej zdolności polowania. Człowiek nie jest w stanie przewidzieć wszystkich reakcji lisa. Dlatego też błąd, chociaż nie zamierzony, może narazić hodowcę na milionowe straty.

W związku trwa skup. W małym pokoju, przy specjalnie oznaczonym stole odbywa się sortowanie i mierzenie przywiezionych skór. Jednak lisy żniwa nie każdemu dają identyczne plony. „Srebrne trofea” podlegają ostrej selekcji. Każda wada, każdy najdrobniejszy ubytek włosa, nierównomiernie rozłożony wzór czy zmiany w ubarwieniu to kilkadziesiąt, jeśli nie kilkaset, tysięcy złotych mniej na sztuce. Przy sześćdziesięciu zarobek zmniejsza się o kilka milionów.

— Taka skóra na „trójkę”? — targuje się hodowca z kobietą oceniającą jakość futer. — Niech pani nie przesadza. Toż to przynajmniej druga klasa. Gdzie tu wady szukać? No gdzie?

Okazuje się, że prawie każdy lis z tej partii, tuż przy głowie, ma niemal niedostrzegalne ubytki włosa. Spowodowane, jak się dowiedziałem, niewłaściwym podawaniem karmy. Zwierzę przy jedzeniu wytarło sobie włosy o brzeg klatki. Trudno. „Spadek” z drugiej do trzeciej klasy kosztuje ponad 100 tys. złotych. Na przyszłość trzeba uważać. Ale i tak hodowca zarobił około 20 mln zł, nie licząc skór poza reglamentacją, które

trafią wcześniej czy później na lubelskie giełdy. Interes nie do pogardzenia. Tylko „lisiarze” kręcą głowami, że jak tak dalej będzie, pójdą z torbami i to bynajmniej nie z lisich skór.

Lisy zawsze śmierdziały, ale duże pieniądze potrafiły skutecznie przytłumić ten zapach. Teraz też śmierdzą, tyle że za psie, a raczej za lisie pieniądze.

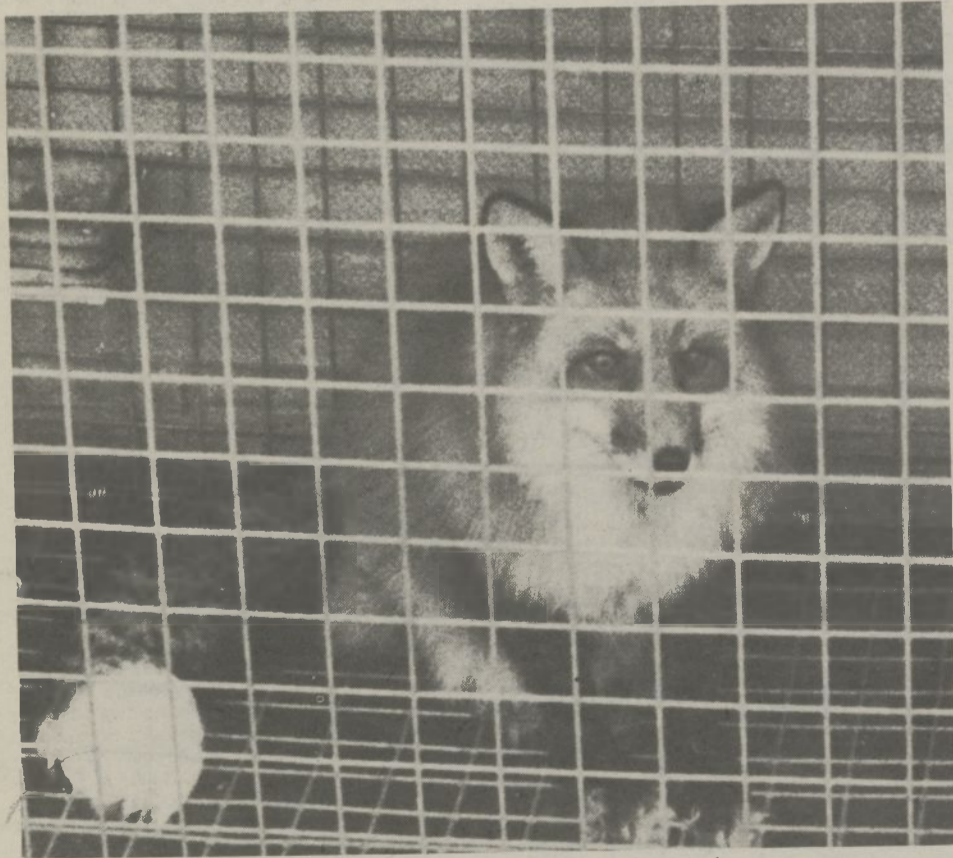
— Jeszcze kilka lat temu — mówi dyrektor Okręgowego Związku Ho-

ZŁOTE

Zbigniew Dzieciołek

dowców Drobno Inwentarza, Mieczysław Konarski — można było na tym rzeczywiście zarobić. Wprawdzie ówczesny monopolista, Lubelskie Przedsiębiorstwo Obrotu Surowcami Włókienniczymi i Skórzanymi, „ciął” hodowców po kieszeni, ale popyt na lisy futra na Zachodzie sprawiał, że wychodziło się na swoje z dobrym zyskiem. Ceny za najlepsze skóry dochodziły nawet do 240 dolarów za sztukę. Szły hurtem bez specjalnej selekcji. Dzisiaj zainteresowanie lisami na rynkach zachodnich jest niewielkie, a najcenniejsze z nich, srebrne, nie przekraczają granicy 50 dolarów. Przy tym, w latach poprzednich, za lisy brał się każdy, kto miał trochę gotówki i liczył na szybki zysk. Stąd jakość przeszła w ilość i obecnie w Polsce mamy nadprodukcję około 400 tys. skór na 700 tys. uzyskiwanych rocznie.

Wraz ze wzrostem cen mięsa i dro-



Fot. Waldemar Stępień

SIEDZIAŁ zamknięty w klatce. Przez drucianą siatkę patrzył obojętnym wzrokiem na błysk fotoreporterskiego flesza. Nawet gładzące w pobliżu kury i gulgotające indyki nie robiły na nim większego wrażenia. Spojrzał leniwie na dwa ujadające przy płocie owczarki i opuściwszy łeb na przednie łapy, zamknął oczy. Lis czekał. Jeszcze tydzień, dwa i właści-

ciel fermy obedrze go po prostu ze skóry. „Złote runo” powędruje do skupu.

W niewielkim pomieszczeniu Okręgowego Związku Hodowców Drobno Inwentarza w Lublinie wiszą pęki lisich skór. Srebrne, platynowe, niebieskie, rude i białe połyskują w świetle palących się jarzeniówek. To efekt rocz-

rozluźniły. Miałam obiekcje, czy jest on tym chłopakiem, z którym chciałyby być”.

Darek często przychodził do Iwony. Dziewczyna powiedziała: „Znam go od trzeciej klasy szkoły podstawowej. Darek palił dużo papierosów. Ukrywał to przed rodzicami, nie chcąc robić im przykrości. Kochał rodziców na swój sposób. Wiedział, że są zagonieni i nie mają dla niego czasu. Z tego, co mi się zwierzał, to bał się rozmów z rodzicami, ponieważ próby rozmów kończyły się roztrząsaniem zwykłych, przyziemnych spraw. Słuchał dużo muzyki punk-rockowej. Często zwracał się do nas całym cytatem z tych piosenek. Utożsamiał się z tym wszystkim. Kiedyś powiedział, że słowa tych piosenek brzmią jak jego rozmowy z rodzicami: a więc musi być standardowy jak wszyscy, dorabiać się jak wszyscy, jak jego sąsiedzi.

To było na jakiś tydzień przed biwakiem. Rozmawiałam z Darkiem na temat życia. Bardzo interesowała go psychika ludzi w czasie wojny. Mówił, że ma dużo kłopotów i chciałby, aby teraz była wojna. Wtedy mógłby pójść walczyć, a los sam by rozstrzygnął za niego, czy ma żyć, czy też zginąć. Ale kłopoty, o których mi mówił, były raczej związane z jego przeżyciami niż z czymś konkretnym. Wyglądało na to, że nie boi się śmierci. Tak o tym mówił, jakby chciał popełnić samobójstwo.

Ostatni raz widziałam go 3 lipca. Przyszedł do mnie przed południem. Był we wspaniałym humorze. Nawet mnie to zastanowiło, bo zawsze był przynęciony. To wtedy przyznał mi się, że kiedy odszedł od nas na biwaku z zawiązaną dla draki na szyi rolką papieru toaletowego, to faktycznie chciał się powiesić. Znalazł nawet odpowiednie drzewo. Przewiesił sznur, który używaliśmy do związywania namiotu, założył pętlę na szyję i wtedy nagle pomyślał o nas. Ze gdyby się powiesił, to my byśmy mieli dużo kłopotów.

Kiedy mi to wszystko opowiadał, to faktycznie przypominałam sobie, że odchodził od nas. Pamiętam, że kiedy wrócił, to miejsca sobie nie mógł znaleźć. Zaczął wtedy z mną rozmawiać. Mówił, że życie nie ma sensu. Ze nie chce dłużej żyć”.

Była 14.30. Andrzej zadzwonił do Darka i przypomniał mu, że mają jechać do Kazimierza. Pojechał z nimi i Kazik, o którym Andrzej powiada,

że to „człowiek z klasą”, bo ma zaw sze przy sobie pieniądze. Najpierw poszli do „Senatorskiej”. Wypili coca-cole. Później w kawiarni PTTK wypili po kilka piw. Odwiedzili też w domu koleżankę z klasy. Wieczorem wsiedli w powrotny PKS.

— Wróciliśmy koło 21 — mówi Andrzej. — Zapytałem Darka, czy wraca już do domu. Powiedział, że skoczy jeszcze do miasta.

Kiedy chłopcy rozstali się, Darek wszedł na ostatnie piętro pobliskiego wieżowca. Otworzył okno na klatce schodowej i skoczył w dół.

Na milicyjnych zdjęciach młody mężczyzna leży w kałuży krwi z nie naturalnie wykręconymi, połamanymi kończynami i rozbitą głową. W jego krwi stwierdzono 1,6 promille alkoholu.

Zawsze miała same piątki. W szkole podstawowej i we wszystkich klasach Liceum Ogólnokształcącego. W kancelarii szkoły pokazywał mi jej arkusze ocen i odznaki: „Złota tarcza »Prymus« 1988”, „Złota tarcza »Prymus« 1989”. We wrześniu ubiegłego roku rozpoczęła naukę w klasie maturalnej. Za miesiąc skończyłaby osiemnaście lat.

— To była bardzo zdolna dziewczyna — mówi wychowawczyni Agnieszki. — Obowiązkowa, koleżeńka. Startowała w różnych olimpiadach. Nigdy nie mówiła o warunkach rodzinnych i materialnych. Nie zwierzała się w klasie ze swoich kłopotów. Rywalizacja pomiędzy Agnieszka a Zuzią nie dotyczyła tylko stopni. Bo pod tym względem szły równo: lew i lew. Dotyczyła też wysokości otrzymywanego stypendium za bardzo dobre wyniki w nauce. Ale tym razem komisja przyznała wyższe stypendium Zuzi — córce znanego, dobrze sytuowanego lekarza.

Obydwie wybierały się na medycynę. W klasie rozpoczęła się już gorączkowa kampania szukania „dojść” do naukowców lubelskich uczelni, aby ci dawali korepetycje przyszłym kandydatom na studia.

— Znalazłam takie „dojście” — mówi matka Agnieszki. — Załatwiłam jej korepetycje z biologii. Jeździła do Lublina w soboty. Trzeba było jeszcze znaleźć korepetytora z chemii.

— Po co? — pytam. — Przecież Agnieszka była prymuską.

— Nooo... wszyscy tak robili. Znalaz-

łam panią z wydziału chemii, która od razu zadała Agnieszce potężną partię wrócić do przerobienia. Kiedy wróciliśmy do domu Agnieszka powiedziała że nie nauczy się tego i z pewnością nie zda egzaminu na studia i że niepotrzebnie będę wydawała na nią tak wielką ilość pieniędzy. A w kilka dni potem dostała pierwszą w swoim życiu dwóję. Z biologii. Pani od biologii kazała im pisać klasówkę. Klasa zaprotestowała, bo już tego dnia pisali klasówkę z innego przedmiotu. Tym co zaprotestowali, profesorka wstawiła dwóję do dziennika. Agnieszka mi powiedziała: „Miałam się wyłamać z klasy, jak to zrobiła córka doktora?”.

Najlepsza przyjaciółka Agnieszki powiedziała: „Agnieszka była lubiana przez całą klasę. Z kolegą, z którym chodziła, układało jej się bardzo dobrze. Mówiła do mnie, że nie jest w stanie objąć tej całej wiedzy na studia, że nie poradzi sobie z nauką. Ciągle powtarzała, że nie poradzi sobie z nauką i nie zda na studia. Według mnie, załamała się psychicznie”.

Ojciec Tomka pokazuje mi olejny obraz namalowany przez Agnieszkę.

— To prezent od niej dla Tomka. Przychodziła tu czasami. Tomek był w niej zakochany, a i ona w nim chyba też. Jeszcze w niedzielę byli obydwoje tacy weseli. Boże, jak ja mam to wszystko zrozumieć?

Tomek: „W ostatnim tygodniu Agnieszka wyznała mi, że najlepiej będzie, jak odbierze sobie życie. A to dlatego, że ostatnio nie mogła się uczyć, nie mogła jeść, nie wiedziała, co ma zrobić po skończeniu liceum i jaki wybrać kierunek studiów. Rozstaliśmy się w niedzielę wieczorem. Agnieszka była bardzo wesoła i nic nie wspominała o samobójstwie. Wiedziałem, że ojciec Agnieszki bardzo często nadużywał alkoholu, a gdy był pod jego działaniem, dochodziło do kłótni z żoną”.

Pierwsza strona listu, który Agnieszka zostawiła w swoim pokoju, napisana jest starannie. Poszczególne słowa zakreślone są kolorowymi flamastrami. Ta strona nosi tytuł: „Osoby, które kocham”. W centralnym miejscu widnieje imię Tomka i napis: „Dzięki tobie poznałam, co to jest miłość”. Obok kolejnym napis: „Kocham mamę, bo tobie zawdzięczam życie”. Dalej wymieniona jest babcia, dwie najlepsze przy-

jaciółki i pies. Ojciec ani brat nie zostali wymienieni.

Druga strona listu napisana jest chaotycznie, mało czytelnie. Można odczytać: „Za moją śmierć nie winić nikogo. To moja psychika zawiniła”.

— To moja wina — płacze matka Agnieszki. — Wyłącznie moja wina. Staralam się ją izolować, chronić. Chciałam, aby nie miała żadnych zmartwień. By się tylko uczyła. Nie rozmawiałam z nią na temat mojego pożycia z mężem. Właściwie to on tylko tutaj mieszka. Od lat nie pracuje. Pije alkohol. Ja go utrzymuję, bo to ja zarabiam na cały dom. Brałam dodatkowe prace, aby Agnieszka miała wszystko. Dla niej to robiłam, bo młodszy syn jest jej przeciwieństwem. Mało zdolny, kapryśny. Ciągle mam z nim kłopoty. Nie dawałam jej nic w domu robić. Byłam z niej taka dumna. Kiedy przed moim wyjazdem na wycieczkę do Związku Radzieckiego powiedziała mi, że się rozmyśliła i że nie będzie już zdawała na medycynę, tylko na psychologię, to ja jej jeszcze sugerowałam, żeby się zastanowiła. Tak w duchu to chciałam, by studiowała medycynę. Sama na pierwszym roku przerwałam studia, więc chciałam... Agnieszka nie rozmawiała ze mną nigdy na temat ojca. Pamiętam, że tylko raz po awanturze powiedziała do mnie: „Dlaczego nie wyrzucisz go z domu. Nienawidzę go”... Może gdybym wtedy nie pojechała na wycieczkę. Może gdybym nie zostawiła jej z ojcem...

Ojciec Agnieszki: „W poniedziałek wstałem o 6.30. Zrobiłem synowi śniadanie. Wojtek poszedł do szkoły. Agnieszka leżała jeszcze w łóżku. Pytałem ją, czy idzie do szkoły. Odpowiedziała, że idzie na 9. Wyszedłem do sklepu po zakupy. Gdy wróciłem, lazienka była zamknięta. Zaczęłam wołać córkę po imieniu. Nic odzywała się. Szarpnąłem za klamkę, ale się urwała. Wybiłem szybę w drzwiach, otworzyłem je i wszedłem do łazienki. Córka wisiła na rurze na czarnych rajstopach”.

Przez kilka tygodni na szkolnym korytarzu stało duże zdjęcie Agnieszki, przewiązane czarną wstążką. Ktoś zapalał codziennie świeczkę, ktoś inny kładł świeże kwiaty. Nad zdjęciem wielki napis krzyczał: „Dlaczego?”.

(Imiona i nazwiska zostały zmienione)

biu podrozały odpady poubojowe, którymi karmi się lisy. Coraz trudniej też dostać resztki wołowyń czy wieprzowiny, bo mięsa na rynku jest po prostu za mało i jak na razie nie wskazuje na to, że będzie go więcej. Lisa nie da się oszukać. Gorsza karma oznacza gorsze futro i w efekcie niższe ceny skór. Jednak gwoździem do lisej trumny stało się styczniowe oprocentowanie kredytów.

Każdy szanujący się hodowca co jakiś czas dla poprawienia wyników hodowlanych kupuje w fermach reprodukcyjnych nowe samce i samce. Jedna samica kosztuje około 350 tys. zł. Przy kilkunastu lisach wydatki

RUNO

„lida” w miliony złotych, a odsetki, liczone w skali miesiąca, przewyższają (po roku) kilkakrotnie wysokość samego kredytu.

Razem z dyrektorem Konarskim, również hodowcą, próbowałem założyć fermę „na papierze”. Obliczyłem ją na 50 matek i 25 samców. Już w pierwszym roku założyłem, że wykoty będą udane i każda matka powieje 2,5 małego lisiątka. Potrzeba mi zatem przeszło 200 drucianych klatek. Do tego dochodzi chłodnia, suszarnia i lite ogrodzenie fermy, gdyż lisy niezwykle emocjonalnie reagują na zmiany w otoczeniu. Samica, która czuje się zagrożona, może nawet zagryźć swoje małe, a wtedy cały trud pójdzie na marne. Tak więc summa summarum biorąc kredyt w wysokości 200 mln zł, 1,5 roku mam do spłacenia ponad miliard. Nawet przy nadmiarze optymizmu, że będę miał najlepsze

skóry, za które otrzymam, powiedzmy, 50 mln zł, wysokość oprocentowania zmusiłaby mnie do ogłoszenia upadłości.

— Pozostaną jedynie duże fermy — mówi Mieczysław Konarski — które rocznie dadzą przynajmniej 600 sztuk przychówku. Reszta zostanie prawdopodobnie zlikwidowana.

A jak w tej sytuacji radzi sobie związek?

Do niedawna nie najgorzej. Czysty zysk za 1988 r. (rok hodowlany nie pokrywa się z rokiem kalendarzowym) wyniósł 32 mln zł. Dzisiaj jednak, żeby zarobić, trzeba myśleć. I tak dyrektor Konarski dogadał się z odbiorcami w Jugosławii, Szwajcarii, Turcji i w oparciu o handel wymienny — skóry za terakotę, wykładzinę, glazurę — będzie próbował znaleźć się w nowej sytuacji gospodarczej. Od powodzenia tego przedsięwzięcia zależy kondycja jego firmy i rynek zbytu dla hodowców.

Roman Godula, szef Związku Hodowców Zwierząt Futerkowych, ma układ z lubelską „Gracją”. Ona jest głównym odbiorcą skupowanych przez niego skór. Bo Europa, potwierdza wcześniejszą opinię dyrektora Godula, jest zaphana lisami, a ceny proponowane przez zachodnich partnerów zaczynają być niższe od krajowych cen skór po wyprawieniu. Na aukcjach w Londynie czy Lipsku trzeba mieć towar pierwszej klasy, aby móc konkurować z innymi hodowcami. Gdyby nie spadek zainteresowania na Zachodzie lisim kuźnictwem, to przy obecnych przepisach prawnych i wewnętrznej wymiarności dolara, można by niezłe zarabiać. A tak? Skór jest za dużo, chętnych jak na lekarstwo, a fermy stają się coraz bardziej

deficytowe. Jakby tego wszystkiego było mało, Zieloni w RFN i Wielkiej Brytanii, protestując przeciwko zabijaniu zwierząt, malują znaki krzyża na futrach noszonych przez tamtejsze elegantsy. Kto w takiej sytuacji odważy się wyjść na ulicę w lisach?

— W tym roku musieliśmy się rozwiązać, gdyby nie dzierżawa pomieszczeń i magazynów, które posiadamy — stwierdził dyrektor Okręgowej Spółdzielni Hodowców Drobnych Inwentarza, Jan Bujakowski. — Hodowla i skup lisich skór przestają być opłacalne. Rynek krajowy jest mało czynny ze względu na wysoką cenę futer, a za granicą przegrywamy konkurencję chociażby ze Skandynawami. Oni proponują towar nie gorszy niż nasz, ale po znacznie atrakcyjniejszych cenach. Niższe koszty produkcji (tańsza karma), których my nie możemy przeszkodzić, pozwalają im spychać nas na margines lisiego handlu. Jeżeli do mnie zgłasza się kontrahent z Włoch i oferuje 12 dolarów za niebieskiego lisa, przy cenie skupu w kraju 140 tys. zł (I klasa), to ja mogę tylko rozłożyć ręce i przecząco pokręcić głową.

Sytuacja wygląda więc tak, że mamy za dużo o kilkadziesiąt tysięcy sór, z którymi nie bardzo wiadomo, co zrobić. Hodowcy ceny nie obniżą, bo nie mogą. Zachód nie chce naszych skór, bo ma tańsze, a w kraju długie futro ze srebrnych lisów kosztowało na koniec grudnia 1989 r. kilkanaście milionów złotych. Przy czym sam materiał nie przekraczał jednej trzeciej poniesionych kosztów.

W lubelskiej „Gracji” dowiaduję się, że oni by chcieli taniej (skóry przecięz są), ale cóż z tego, skoro fiskus nie pozwala. Jeden srebrny lis po wyprawieniu, z 50-procentowym podat-

ktem obrotowym, osiąga w pierwszej klasie cenę 700 tys. zł (w skupie od 270 do 400 tys. zł), a w innych zakładach jeszcze więcej. Po uszyciu, gotowy wyrób obłożony jest dodatkowo tzw. podatkiem luksusowym w wysokości 25 proc. Koszty własne dopełniają całości. Stąd z ubiegłorocznych 10 tysięcy futer i kurtek tylko 20 proc. trafiło do naszych sklepów. Reszta powędrowała za Odrę i Nysę, gdzie za niebieskiego lisa, już w produkcji finalnym, płacono 50 dolarów za sztukę, a za srebrnego 100.

Jeżeli cena krajowych skór „pójdzie” w górę, co jest bardzo możliwe, to „Gracji” będzie się bardziej opłacało sprowadzać surowiec z Zachodu. W konsekwencji możemy nie tylko zredukować nadwyżkę „płatynowców” i „srebrzaków”, ale też doprowadzić do całkowitej likwidacji ferm w Polsce. A przecież nigdzie nie jest napisane, że moda na lisy nie wróci na ulice Bonn, Paryża czy Londynu. Tylko wtedy może być już za późno.

Hodowcom, póki co, pozostaje giełda. Tam na podatek obrotowy i luksusowy można się, mówiąc delikatnie, wypiąć. Jest to wprawdzie proceder nielegalny, ale ponoć tonący i brzytwy się chwyta. Cena bazarowa kurtki czy futra z lisów będzie o połowę mniejsza niż w państwowym sklepie. Hodowca wyjdzie więc na swoje, a i potencjalny klient zaoszczędzi kilka milionów złotych.

Nadprodukcja 400 tys. skór, przy jednoczesnym obłożeniu ich wysokim podatkiem, stwarza możliwości spekulacji. Miliardowe sumy, zamiast wpływać do skarbu państwa, trafią do prywatnych kieszeni.

Czasami, jak się chce dużo zarobić, można wszystko stracić.

POLACY DOSYĆ MAJĄ WSZELKIEGO SOCJALIZMU

Ciąg dalszy ze str. 1

przez hrabiego, tak tutaj głosowano na tych, których wskazał pan Wałęsa, przy czym musiał się on liczyć z tym, co zdecydowano w Komitecie Obywatelskim.

Cóż to za wybory, skoro wiadomo, ile osób określonej barwy znajduje miejsca w parlamencie? To była raczej konwencja sił, które porozumiały się przy „okrągłym stole”, z pominięciem tych sił, których do stołu nie poproszono. Żadna z nich, oprócz wspomnianej PPS, którą wskazał Komitet Obywatelski, nie liczyła się w tej grze. Nastąpił paradoks, że siły, które są bliskie większości społeczeństwa, mandatów nie uzyskali. Przypadły one natomiast blokowi lewicy, co do której społeczeństwo ma wiele uprzedzeń. Absolutnym paradoksem jest to, że najbardziej antybolshewicka KPN z panem Moczulskim też mandat nie zdobyła.

Wydaje mi się, że ogół społeczeństwa nie znalazł niuansów, kulis i ustaleń, głosując na Listę Komitetu Obywatelskiego. Przy „okrągłym stole” zdecydowano, że ma być tylko dychochotomia, przeciwko czemu protestowałem na forum Sejmu. Powiedziałem, że w takiej sytuacji zamiast monowładzy mamy monopol władzy i monopol opozycji. Tak być nie powinno, gdyż opozycja musi mieć wiele twarzy, a pluralizm w opozycji warunkuje istnienie demokracji.

— Wprowadzenie do obiegu politycznego, do świadomości opinii publicznej faktu istnienia chrześcijańskiej demokracji było jednakże istotnym sukcesem tej konfrontacji. Wielu uważało wprawdzie, że najbardziej im po drodze z tzw. lewicą laicką, bo ci panowie, jako byli komuniści, najlepiej znają technikę i taktykę walki politycznej.

— Tak, to istotne osiągnięcie, że weszliśmy w publiczny obieg. Lewica laicka w „Solidarności” walczyła o to, by nikt spoza jej kręgu nie znalazł się na listach Komitetu Obywatelskiego. Wówczas odzywały się głosy, że to błąd, że Komitet powinien być matką różnych ugrupowań opozycyjnych. Pogląd taki wyrażał podobno również obecny premier — pan Tadeusz Mazowiecki. Ale tam dominowali ludzie o poglądach lewicowych, stąd można zrozumieć ich sympatię do PPS, która stała się bliższa Komitetowi Obywatelskiemu niż chadecja, KPN czy grupy narodowe. Pominięto też PSL, ograniczając się do „Solidarności” RI.

Stanęliśmy wobec kwestii: rezygnujemy czy idziemy sami? Aleksander Hall zdystansował się od Komitetu, zgłosił protest, którego zresztą nikt mu nie chciał wydrukować. My natomiast zdecydowaliśmy się iść do wyborów osobną grupą, choć zdawaliśmy sobie sprawę, że w wyborach większościowych nie mamy szans. Społeczeństwo głosowało bowiem na literactwo, na grupę, której symbolem jest Lech Wałęsa, a który to znak Komitet Obywatelski przypisał sobie. Lech Wałęsa wyraził na to zgodę, bo uznał widocznie, że tak będzie najlepiej.

— To prawda, że głoszone przekonanie, iż ci panowie najlepiej znają technikę walki politycznej i ludzie w to uwierzyli. Część nawet z wewnętrznym niesmakiem uważała, że trzeba właśnie głosować na tamtych. Mec. Siła-Nowicki przegrał z Kurokiem, który nigdy nie ukrywał swych lewicowych przekonań, byłem prominentem partyjnym z czasów, gdy mecenas Nowicki przebywał w więzieniu za przekonania polityczne.

— A na chadeckim Śląsku, gdzie lider SP, Korantny, głosił idee chrześcijańsko-społeczne, K. Święton przegrał z A. Michnikiem...

— ...też byłem członkiem PZPR, człowiekiem, który z chrześcijańską ideą społeczną nie ma nic wspólnego. Ja w Lublinie miałem 15 proc. głosów, mec. Siła-Nowicki 20 proc., czyli więcej niż chadecy mieli przed wojną. Udało się uzyskać tamten poziom elektoratu i to mimo ataku, jaki na nas przypuszczono. A przecież kandydat z KPN czy SP byłby tak samo z opozycji, jak ten z Komitetu Obywatelskiego. Wówczas zaistniałaby możliwość gry na różnych instrumentach.

— To przecież trudna rzeczywistość wymusiła kontrakt, który z góry ustalił wyniki głosowania 35 proc. „dla nas” i 65 proc. „dla nich”, choć prawdą jest, że zwycięstwo wyborcze, osiągnięte dzięki znakowi „S” i rekomendacji Lecha Wałęsy, nie wywolało entuzjazmu społecznego.

— Tłumy nie wiwatowały na ulicach, gdyż rozumiano dobrze, że jesteśmy na początku drogi, a wybory nie były demokratyczne. Przypomina mi się sytuacja z epoki poprzedzającej powstanie styczniowe, gdy na propozycję reform margrabiego Wielopolskiego, w tym wyborów do rad miejskich i państwowych, odpowiadano: „Brac, ale nie kwitować”. W konsekwencji takiej postawy pojawiła się apatia polityczna, którą przerwał powstańczy zryw.

Dzisiaj — sytuacja analogiczna. Marazm polityczny i awersja społeczeństwa jest niepokojącym faktem. Nikt precyzyjnie nie odgadnie, czym to może się skończyć. Społeczeństwo oczekuje na normalne życie polityczne w kraju, naród oczekuje w milczeniu, wiedząc, że mu się więcej należy niż to, co otrzymał po 4 czerwca. Udział zaledwie 14. proc. obywateli w wyborach uzupełniających w Piotrkowie wiele mówi. Komuniści i ich do niedawna satelici mają większość w Sejmie, wiele znaczą w rządzie, a jeszcze więcej w administracji terenowej. Rząd się do nich uśmiecha, celebrytuje poprawność, zwalcza siłą antykomunistyczne demonstracje, chociażby 13 grudnia w rocznicę stanu wojennego.

Ciąg dalszy na str. 7

Między prawdą a nienawiścią

— **S**TOI nas piętnastu. Beria podchodzi do każdego i dziękuje za pracę, ściska rękę. Trwa to trzy — pięć sekund. Jest przy mnie, podaje rękę, mija pięć sekund, a on mnie wciąż trzyma. W dwie sekundy przeleciałem całą biografię swoją i członków rodziny: kto co mógł szepnąć, gdzie kto zęby mył. Wreszcie puścił. Nie mogłem nawet wziąć głębokiego oddechu — nie wolno! Poczułem, jak pot spływa po twarzy i drżą kolana.

— Beria miał rybie, martwe oczy. Nic w nich nie było widać. U innego znajdziesz smutek, dumę, żal, u niego nie było nic — kontynuuje podpułkownik. — Ostatni raz spotkałem go trzy dni przed jego aresztowaniem. Leceć po schodach w ministerstwie — żołnierz nie ma prawa wchodzić po trapie, on musi biec — na którymś zakręcie wałęs z rozpedu głową w brzuch jakiegoś kapitana, aż przysiadłem. Trzy stopnie wyżej stoi Beria i patrzy na mnie. To był człowiek z jego ochrony, gdyby nie on, uderzyłbym Berię.

— Nic nie powiedział?
— Nic. Godzinę wcześniej byłem u niego w gabinecie po rozkazy. Wiedział, że to przypadek. — A jak dowiedział się pan o jego aresztowaniu?

— Wypełniałem kolejne spec-zadanie. Stoimy

lewa, to znów musi się przebrać, bo za gorąco — przyjmujemy konwencję i uśmiechając się, wychodzimy na korytarz. Madmoiselle wstydzi się.

ZA chwilę słyszymy wykład o masie krytycznej plutonu, uranu.

— Na Syberii nie było gdzie wylewać gorącej wody z reaktora, pomyśleli i... drugi raz do obiegu! Byłem w Siempalatyńsku, Gorbaczow pokazywał tam amerykańskiemu uczonemu: tu testowaliśmy wybuchy podziemne, tam naziemne. Tu domy stały bokiem, tam rogiem — sprawdzaliśmy siłę uderzeniową.

Zaczynam pojmować, na czym polegało owych kilkanaście lat spędzonych pod ziemią.

— Nie obawia się pan rozmawiać na ten temat? — pytam.

— Mówię, co wolno, o konkretnach muszę milczeć — Syberia jest od Uralu po ocean. W chwili wybuchu temperatura wynosi 35—40 000°C, trwa to półtorej sekundy, a wszystko topi się!

Interesuje mnie Stalin.

— Widywałem go na obiektach i na Kremlu. To był ciężki człowiek, nigdy się nie uśmiechał. Kiedy pytał o coś, wszyscy znali odpowiedź — i on, i pytany. Odpowiadało się, jak trzeba, ale zawsze pytał spod kowyrki, podchwyliwie...

PRZYJECHAŁO

Adam W. Kulik

na dworcze, wszyscy kupują gazety, wziąłem i ja. Na pierwszej stronie informacja o aresztowaniu, och!

— Szefa numer 1 nie ma?

— Tak jest. Już go nie było. Gdyby objął władzę, na pewno zaprowadziłby wojenny komunizm. Może na początku popuściłby, a potem byłoby tak: pracujesz i nie płacą ci, dostajesz wszystko, co do życia potrzebne — chleb, ubranie do roboty, ubranie od święta. Pieniądzy nie — nie są do niczego potrzebne. Co ci trzeba, damy, a na co ci pięć czy dziesięć garniturów? Trocki też był zwolennikiem wojennego komunizmu; mówił, że nie da się ciągnąć przeżytków kapitalizmu w komunizm. Dobrze o tym pisał Sołżenicyn w „Archipelagu Gulag”.

— W którym roku pan to czytał? I jak — przecież książka się nie ukazała?

— Nie pamiętam, w którym. Dwa numery leningradzkiej „Gwiazdy” to drukowały, potem zakazali. Ale urzędnik, który położył na teście rękę, czytał, podzielił się wiedzą z innymi — tak to szło.

Dwa razy pytam mojego podpułkownika o aresztowanie i rozstrzelanie Berii: kiedy — zaraz na Kremlu? Za tydzień? Po wyroku sądowym? Niektórzy znawcy problemu podają, że zastrzelił go Chruszczow w dwie godziny po aresztowaniu, na Kremlu, w sali przylegającej do tej, w której przez parę godzin toczyła się dyskusja, co z nim zrobić? Inni historycy konsekwentnie utrzymują, że wyrok wykonano dopiero po procesie sądowym. Bliższa wydaje się wersja pierwsza, mająca analogię ze śmiercią Ceausescu (mniejsza kto i jakim sposobem pozbawił Berię życia) — o trupa nikt się nie zechce bić. Jest to tym bardziej prawdopodobne, że wojska NKWD, podlegające przecież Berii, w każdej chwili gotowe były ruszyć na Moskwę, by odbić „ukochanego” wodza.

— Zrobił to Zdanow i jego ludzie — tyle tylko się dowiedziałem.

Siedmioletnia Diana pragnie rysować — dziadek troskliwie podsuwa kartonik; chce pić — na-

Stworzył specjalne fabryki, w których pracowali tzw. podwodniacy. Tak ich nazywaliśmy, bo jak wleziesz pod wodę, choćbyś nie wiem jak krzyczał, nikt cię nie usłyszy. Szło się do roboty na trzy lata, i na ten czas człowiek znikał — nikt nie mógł do niego pisać ani on do nikogo. Chodziło o zachowanie tajemnicy wojskowej.

— Brali tam więźniów?

— Nie, dobrowolców. Ale oni nie wytrzymywali trzech lat, najwyżej dwa. Po tym czasie przenoszono ich do zony, gdzie mogli prowadzić normalną korespondencję. To były wojskowe fabryki, konstruowano w nich np. bomby atomowe.

— Porozmawiamy o Chruszczowie?

— Bezgramotny muzyk... On może i chciał coś zrobić. Za granicą ta sama rzecz oplaca się, u nas nie — płac 200 rubli. Zabrał ludziom krowy, kozy, które trzymali w miastach — do dziś go źle wspominają. Wiąże się z nim skandal w ONZ — wygłaszał przemówienie, nie poparte naukowymi dowodami. Kiedy zaczęły się na sali szmery i gwizdy — nie dawali mu mówić — zdjął półbuta, rąbnął nim parę razy o mównicę i ryknął do mikrofonu: — „Ja wam pokażę sukinsyny!” Państwo musiało zapłacić 2 miliony dolarów kary.

— Zna pan raport Chruszczowa?

— Znałem już w 56.

— Jak pan się odnosi...

— Nieufnie. Byłem zaniepokojony moralnie. Chruszczow odkrył karty i widzisz, że grasz z szulerem. Ludzie zawierzyli.

— Niektórzy twierdzą, że Stalin robił to samo co Hitler.

— Nie ma dwóch jednakowych ludzi, choćby jeden drugiego kopiował.

— Hitler kazał mordować innych, Stalin swoich.

— Hitler też niszczył ludzi ze swojej partii. U nas sprawa Kirowa. W latach 1929—30 Stalin organizował przymusową kolektywizację; Kirow lubił porządek i kiedy robotnicy Leningradu postawili mu pytania, pojechał do Stalina wyjaśnić sprawę. Stalin wyjaśnił, Kirow wrócił i na

LISTY-POLEMIKI

„Ukraińcy chcą tryzuba i Przemysła”?

Nawiązując do wypowiedzi red. Wiśniewskiego z 51-go numeru „Relacji” (brzmiejącej: „Ukraińcy chcą tryzuba i Przemysła”), chciałbym go prosić o odpowiedź na kilka związanych z tym problemem pytań:

1) Czy zna pan stanowisko dwóch najbardziej znaczących ukraińskich opozycyjnych organizacji (Narodowego Ruchu Ukrainy i Ukraińskiego Związku Helsińskiego) w sprawie stosunków ukraińsko-polskich i polskiej mniejszości na Ukrainie?

2) Czy w ogóle znana jest panu jakaś niezależna ukraińska organizacja, która miałaby w swym programie żądania terytorialne wobec Rzeczypospolitej Polskiej?

3) Czy nie wie pan, że naród ukraiński ma „na głowie” ważniejsze problemy (ekologiczne,

kulturalne, polityczne) niż spór o niewielkie miasto, gdzie Ukraińców jest najwyżej kilkanaście tysięcy?

4) Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że zainteresowani przyłączeniem Przemysła do Ukrainy mogliby być tylko przesiedleni w latach 1944—48 do USRR względnie niewielkie grupki mieszkańców Ukrainy Zachodniej? Proszę pamiętać także o tym, że również wielu Polaków chciałoby zmiany wschodniej granicy RP w duchu lat 1921—39, a przecież do niczego takiego nie dojdzie.

Moim skromnym zdaniem, tak wspaniałych warunków dla porozumienia obu narodów jeszcze nigdy chyba nie było. Dzięki przyłączeniu przeważającej części ziem zachodnioukraińskich do ZSRR Polacy przestali być w oczach Ukraińców okupantami; stali się współwładziami komunistycznego systemu. W dodatku to Polacy podłożyli w 1980 roku ogień pod gmach stalinizmu. Zjednało im to sympatię narodów zniewolonej Europy Środkowo-Wschodniej, w tym i Ukraińców. Znane i cenione są na Ukrainie takie postaci, jak: Jan Paweł II (obdarzony ogromną miłością przez ukraińskich katolików i nie tylko), Lech Wałęsa, a nawet ks. J. Popietusko (ten ostatni już chyba w mniejszym stopniu). Nie trzeba już nawet wspominać o Michniku (gościu Zjazdu Założycielskiego Naro-

zamkniętym zebraniu obkomu w Leningradzie miał zdać sprawę. Przygotował sobie materiały, i w Smolnym, gdzie od rana nikogo nie wpuszczano bez odpowiednich legitymacji, zastrzelił go Nikołajew. To znaczy ranił śmiertelnie — nikt już nie mógł pomóc. Nikołajewa wsadzono ze strażnikami do milicyjnego wozu i po Wasilewskim prospekcie wieźli do więzienia. Tam najechał na nich drugi samochód — zginął jeden z ochrony, drugi został ranny. Nikołajewa na miejscu zastrzelono. Za jakiś czas przychodzi rozkaz, żeby aresztować i rozstrzelać za spartaczoną robotę konwojentów Nikołajewa — niby, że nie dowiedzieli go do więzienia żywego. Martwy niczego nie powie. Stalin obawiał się, że jeszcze trochę i Kirow go przerosnie. Sam nie wychodził ze strachu z Kremla, Kirow — jak dziś Gorbaczow — szedł do ludzi, rozmawiał. Lubili go wszyscy.

— A Breżniew?

— Breżniewa nazwałbym nikczemnym szefem państwa. Jedyne, co zrobił, to dał pomoc weteranom wojny. Lubiał pobrzękuski — medale, ordery, tylko on miał czterech bohaterów Związku Radzieckiego! Szeregowy robotnik frontowej organizacji partyjnej, a kazał pisać o swoich bohaterstwach! Jakim prawem przyswoił sobie stopień marszałka, to otrzymuje się tylko za autentyczne czyny wojenne! On skończył wojnę jako pułkownik. Albo Order Zwycięstwa — gwia-

NKWD, ZABRALI...

zda wysadzana brylantami, którą wręcza się tylko jednostkom — dał to sobie i Ustinowowi, który jest tylko inżynierem wojennej techniki i nigdy nie był wybitnym dowódcą w czasie wojny. Stalin miał Order Zwycięstwa jako generalissimus. Zukow, wszyscy dowódcy frontów, jeżeli zostali przy życiu — dwóch zabito w czasie wojny, w Prusach.

— U nas od Gierka Breżniew otrzymał Wielką Gwiazdę Virtuti Militari, i też mu się nie należała.

— To jest tak: ty mi dasz i ja ci dam.

JEDZIEMY przez Stawropolski Kraj. Po prawej tyse góry Kaukazu, po lewej doliny ornej ziemi, pastwisk. Kaukaz — schronisko dziesiątków narodów i narodowości przez tysiąclecia. Napadani przez liczniejsze i lepiej zorganizowane plemiona, mieszkańcy uchodzili w góry, ścieśniali się. Po paru tysiącach lat, trudno dostępną kawałek ziemi na pograniczu Europy i Azji stał się prawdziwą mozaiką kultur, religii i języków. Niemal co wioska lub małe miasteczko to inny język, inna kultura i tradycja. Stanowi to prawdziwe bogactwo tej ziemi, lecz jak trudno z tym bogactwem żyć...

Usiłuję skierować rozmowę na temat Ormian i Azerbejdżanu. Pułkownik jakby na to czekał:

— Mikojan — Ormianin. Tyle przeżył i nie mu, co znaczy spryt. Jak współcześni Ormianie: bez mydła wlezie i wylezie. Starał się nie pakować w akcje, za które mógłby w przyszłości odpowiadać, wrabiał w to innych. Przeżył Stalina, Chruszczowa, Breżniewa, dla nich pracował i dla każdego był dobry. Nie lubił „cieni”, ochrony, na dachy jeździł tak, żeby nikt nie widział, nie słyszał — opowiadał mi o tym oficer z jego ochrony, mój przyjaciel. Był zadowolony, że trafił do Mikojana. Inny jest taki, że ochronę ciągnie za sobą do ubikacji. Chruszczow dochodził, wiercił przeciwko niemu, niczego nie znalazł — Mikojan nie występował otwarcie przeciwko temu, tamtemu, chciał po prostu żyć.

dowego Ruchu Ukrainy) czy „Solidarności” w ogóle.

Uważam, że nie na miejscu jest publikowanie teraz (i to w poczytnej, ogólnokrajowej gazecie, jaką są „Relacje”) takich wypowiedzi jak red. Wiśniewskiego — nawet w żartach. Proszę zatem uprzejmie o łaskawą odpowiedź na moje pytania.

Piotr Siwicki
Lublin

Nawet nie przypuszczałem, że jedno — lekkim tonem wypowiedziane — zdanie może stać się przyczyną irytacji naszego Czytelnika i sympatyka. Powiada on, że nie na miejscu jest publikowanie takich wypowiedzi nawet w żartach. A to dlaczego? W żartach, drogi panie, wolno chyba powiedzieć wszystko.

A poważniej, czy pan naprawdę uważa, że stosunek Ukraińców do Polski i Polaków cechuje pełne zrozumienie, podziw dla naszych dokonań i wszechogarniająca sympatia? Czy wie pan, jak traktowani są we Lwowie miejscowi Polacy, może nie tak całkiem przestali się oni kojarzyć z „okupantami”? I czy naprawdę nie wie pan o hasłach wznoszonych — pośród innych oczywiście — w

— To prawda, że Francuzi znaleźli rurę w Armenii z zaspawanymi trupami wewnątrz?

— Tak rozgadali, ale żaden z nich nie potrafił wskazać miejsca, gdzie znajdowała się ta rura. Dlatego poprosiliśmy ich, żeby wrócili do domu. Po co nam tacy pomocnicy.

— Jaki miałby w tym interes?

— We Francji, w Paryżu, żyje bardzo wielu Ormian. Trzeba by się zastanowić, komu mogło służyć?

— Taka wieść powoduje psychozę strachu, ale i nienawiści. Ormianie o sobie tego rodzaju pogłosek raczej by nie rozpowiadali.

— W Karabachu na 100 Ormian przypada 5 Azerbejdżan. Oni tam wszystko urządzili doskonale: robota dobrze zorganizowana, mieszkania dobre. W Stepanakercie jest jedyny w ZSRR zakład, gdzie wydobywają radiotechniczną, elektroniczną mikę. Zaden dobry kondensator bez niej się nie obejdzie. Ormianie od razu zorientowali się, że to interes — byli pierwsi... Turcy zabrali im południową Armenię; teraz po co nam konflikt z Turcją?

— Konflikt w Karabachu musi przeciw komu służyć?

— Ma pan miliony na książeczce, na koncie?

— Nie mam.

— Ja też nie. A Ormianie mają. Oni sądzą, że kiedy będzie nowy porządek w Rosji, ich czas się skończy. Dlatego chcą się odłączyć.

— I nie boją się Rosji?

— Nie.

— Jeżeli oddzieli się, zje ich Turcja.

— Niekoniecznie, mają dużą kolonię w USA, ona im zapewni obronę.

— Widziałem reportaż zdjęty z telewizji, milicja pomaga im wwozić broń do Karabachu.

— Po prostu kupili milicję. Dali im duże pieniądze, ot i wszystko. Przyswyczał się, że Radziecka Rosja zawsze im pomagała. Teraz działają przeciwko nam.

MILCZYMY. Pułkownik zbiera myśli. — Zał mi dwóch ludzi — podejmuje wątek. — Tuchaczewskiego i Blüchera. Tuchaczewski wiedział, że Niemcy się zbroją i przeciwko komu — oczywiście przeciwko Rosji. Wiedział, że będzie to wojna techniki, motorów — kończył przecież szkołę oficerską w Niemczech. Ci połapali się, że to bardzo zdolny dowódca, w wieku 18 lat dowodził pułkiem! Ale jak go sprzątnąć? Wysłał szpiega z listem dziękczynnym do Tuchaczewskiego, że za dobrą robotę dostanie honorarium w szwajcarskich frankach. Czesi niby pojмали tego szpiega i wręczyli list w prezencje Stalinowi. I rozstrzelano Tuchaczewskiego. Ministrem obrony został Woroszyłow, który postawił na kawalerię i artylerię.

— Blücher na dalekim Wschodzie sposobił się przeciwko Japończykom, znał ich bardzo dobrze, a oni się go ball — kontynuuje mój rozmówca. — Japończycy skopowali historię z Tuchaczewskim, skończyło się aresztowaniem i rozstrzelaniem. Podobnie było z wynalazcą katjuszy. Broń była znana wcześniej, ale Stalin nie kazał jej wprowadzić: pocisk artyleryjski rozbijał cel od razu, z katjuszy wystrzelili 20 pocisków i nic. Sabotaż! Dopiero na froncie fińskim, lasy, na każdym drzewie „kukulka”, katjusze się przydały. Zapalające pociski z fosforem dawały zapórę nie do przejścia.

(Koniec odcinka 11. — cdn.)

czasie wieców i demonstracji: „Przemysł, Zamość w Wielkiej Samostijnej!”

Ja, szanowny panie, w żadnym miejscu nie piszę o ukraińskich ugrupowaniach, których dążenia obdarzam sympatią, jak w każdym przypadku emancypacji narodowej. Ale niech pan nie próbuje udawać, iż nie wie, że mityngi i demonstracje nie odbywają się pod żółto-niebieskimi flagami i symbolami tryzub. A może to widelec, a nie tryzub? Zresztą ta ornamentyka mało mnie akurat obchodzi.

Skoro natomiast wspominał pan Michnika, to warto by sięgnął pan do relacji z jego pobytu w Kijowie i sprawdził, jakich to miast usunięcia herbów zażądał pan Adam od gospodarzy zjazdu Frontu Narodowego. To są resentymenty, często głos ulicy, ale to są też fakty i nie warto udawać, że nie istnieją. Tylko, na Boga, niech pan ze mnie nie robi nacjonalista i przeciwnika porozumienia Polaków i Ukraińców. W razie wątpliwości odsyłam do mojego wywiadu z doc. Josefem Łosiem w 14. numerze „Relacji”.

Za wyrazy sympatii dla pisma serdecznie dziękuję, bardzo nam one teraz potrzebne.

Leszek Wiśniewski

POLACY DOSYĆ MAJĄ WSZELKIEGO SOCJALIZMU

Ciąg dalszy ze str. 6

i zdaniem wielu tak, jak to czynili „Oni”. To, co dzieje się teraz, ciągle pogłębia apatię społeczeństwa.

— Słyszysz opinie, że zmiany dokonujące się w krajach uważanych dotąd za ortodoksyjnie komunistyczne wyprzedzają proces przemian politycznych u nas.

— Trzeba powiedzieć wyraźnie, że w obliczu zmian zachodzących w szybkim tempie w naszej części Europy, tajne, nie znane ogółowi ustalenia z Magdalenki, spisane przy „okrągłym stole”, uległy już erozji.

Węgrzy dawno pozbyli się cudacznej nazwy „WRL”, my dopiero tuż przed Nowym Rokiem porzuciliśmy „PRL”, w Czechosłowacji „NRD” jedną uchwałą parlamentu wymieciono artykuły konstytucji mówiące o przewodniej roli partii komunistycznej. Przygotowujemy same projekty — nawet ciekawe — gospodarcze, polityczne, ale tylko projekty. Mówi się o wyborach samorządowych, a w odległą przyszłość odkłada się sprawa demokratycznych wyborów parlamentarnych. Odbywa się to na zasadzie: niech teren, doly posmakują demokracji, a góra w Warszawie pozostanie bez zmian przez ostre lata, a może i dłużej. Czesi, Niemcy z NRD, Rumuni po obaleniu Ceausescu, będą mieli demokratyczne wybory już w tym roku. Można i należy przyspieszyć wybory parlamentarne u nas. Dlaczego nie można byłoby połączyć wyborów do rad narodowych z nowymi demokratycznymi wyborami do Sejmu i Senatu już jesienią?

Senator Jarosław Kaczyński w wypowiedzi telewizyjnej nie wykluczył takiej ewentualności w 1991 roku, ale czy musimy ciągle czekać, pozostając w tyle za krajami ościnnymi? Nie bójmy się i nie lekceważmy sygnałów społecznych.

— O ile społeczeństwo zbyt długo pozostawać będzie w apatii, tym bardziej prawdopodobne stana się działania ekstremalne.

— Oczywiście. Akcja KPN zajmowania lokali PRON i Komitetów Wojewódzkich PZPR potwierdza to. Ten marazm zaktywizuje inne radykalne ugrupowania, wyłoni nowe i chociaż dziś wiele osób patrzy na nie z przyrzużeniem oka, mogą one złapać „wiatr w żagle” i szybko zyskać znaczne poparcie społeczne. Ugrupowania te nie są reprezentowane w parlamencie, tym łatwiej więc będą oddziaływać na obywateli dziś już mocno zmudzone gadulstwem w Sejmie i Senacie oraz niezrozumiałymi dla ogółu kombinacjami politycznymi z dawną ekipą władzy.

Nie wolno uprawiać strusiej polityki, zamykać oczu i nie dostrzegać głosów dopominających się o czyszczeniu atmosfery politycznej. Gładkie zdania pani rzecznik jakże często tchną pustostawem, dając w odbiorze społecznym skutek nie lepszy od pokrętej sofistyki Jerzego Urbana.

Cieszy nas znaczny już zakres wolności, brak jednak demokracji opartej na pluralizmie politycznym. Nadal utrzymuje się dualizm władzy, oparty o tzw. reformatorów z PZPR i lewicę polityczną, która przywarła do „Solidarności”. Sprzeciwiamy się monopolowi politycznemu, gdyż nie zapewniamy nigdy demokracji, opowiadamy się za wielością partii w życiu publicznym i parlamencie. Dzisiaj w Sejmie i Senacie wszystkie ugrupowania tworzą rząd, wszystkie są prorządowe, a opozycja parlamentarna nie istnieje. Jest to sytuacja kuriozalna, niezmana w żadnym parlamencie Europy.

— A w kraju trwa ideowy kryzys. Polaków ram ekonomiczna niepewność jutra. Jedni w dyskusjach odwołują się do kapitalizmu, inni nie chcą porsuścić formuły państwa opiekuńczego. Przeciwnicy chadecji twierdzą, że jej obecność polityczna to jeszcze większy bałagan polityczny i ekonomiczny.

— Program chadecji, odwołujący się do nauczania społecznego Kościoła, choć leciwy w wielu punktach, jest aktualny po dzień dzisiejszy. Gospodarka rynkowa — tak, ale nie w postaci uderzającej w społeczeństwo, więc z ingerencją państwa. W programie SP uwzględnia się rację pracy rodzinnej, akcjonariat pracowniczy, ideę solidaryzmu społecznego, a nie walki klas, uwłaszczenie pracy. Odwołujemy się do niezmiennych zasad katolickiej nauki społecznej, które staramy się aktualizować przez ogląd bieżącej rzeczywistości.

Nie jest to zadanie łatwe, ale konieczne. Będziemy o tym mówić na Kongresie SP, który przewidujemy na wiosnę tego roku. Myślę, że choćby zasada pomocniczości, sformułowana przez Piusa XI w encyklice „Quadragesimo anno”, może odnaleźć dzisiaj swoje szersze zastosowanie. Chrześcijański personalizm i solidaryzm społeczny leży u podstaw naszej obecności i zachowań politycznych.

— Ale przecież do nauczania społecznego Kościoła odwołują się inne ugrupowania, nawet „Ruch 8 lipca”.

— Nam to nie przeszkadza. Nietrudno jednak zauważyć, że czynią to w sposób selektywny. Opowiadamy się za integralnym widzeniem katolickiej nauki społecznej, nie zabiegamy tu o monopol, i tę integralność będziemy starać się wykazywać, dążąc do zbliżenia interesów wszystkich w duchu solidaryzmu społecznego.

Z epoki postkomunistycznej na pewno nie wyprowadzi nas socjaldemokracja, która eksponuje rolę państwa-bożyszczka i dla komunistów, i dla socjalistów. Tylko w programach demokratycznych państwo jest narzędziem narodu, ale nigdy „dobrem najwyższym”.

Dokończenie na str. 8

POLACY DOSYĆ MAJĄ WSZELKIEGO SOCJALIZMU

Dokończenie ze str. 7

Niech zaistnieje u nas kapitalizm, ale nie ten XIX-wieczny, pazerny i zaborczy, od którego Europa już odeszła. Nie możemy go restytuować, gdyż będziemy anachroniczni. A taki nam zagraża. Świadczą o tym gospodarcze eksperymenty, których naród nie wytrzyma; rosłą fortuną spółek, z drugiej strony mamy Kuroniowe „bieda-zupki”. Trwa monopol producenta i dystrybutora. Oba ułatwiają żerowanie neo-kapitalistów, często o partyjnej proveniencji. Brakuje u nas nadal prężnego „stanu trzeciego”, a państwo winno odejść od drobnej i średniej produkcji, wyprowadzając ją ze sfery budżetowej. Państwo może i powinno utrzymać się z podatków i nim ograniczać nadmierne zyski prywatnego przemysłu i handlu.

Od 1 stycznia br. prawem wsparta inflacja stanie się hiperinflacją, a druk banknotów 500-tysięcznych i milionowych sprawy nie ułatwi. Naród wycieńczony hiperinflacją zmiecie każdy rząd, który nie potrafi społeczeństwa od niej uwolnić. Idzie więc o kapitał i uspołeczniony, a nie niczym nie ograniczony. Kraje Europy Zachodniej po II wojnie ku demokracji i odbudowie gospodarczej powiodła chadecja. Daj Boże nam taki balagan z tą samą gospodarczą prosperitą co w Italii...

— Czy hasła demokratyzacji życia w Polsce w rodzaju „socjalizm z ludzką twarzą” mają szanse powodzenia?

— Demokracji nie zapewni coraz wyraźniej pojawiająca się perspektywa sojuszu laickiej lewicy z tzw. reformatorskim skrzydłem rozpadającej się PZPR. Reprezentanci tej lewicy, dziś liderzy polityczni licznych rzesz katolików skupionych w „S”, rekrutują się w większości z dawnych szeregów partyjnych, które przed laty opuścili, pozostając nadal w większości zwolennikami socjalizmu. Teraz chcą go ucznić demokratycznym! O ile ten sojusz zaistnieje — koniec marzeń o demokracji! Zmieniwszy poglądy z komunistycznych na tzw. socjaldemokratyczne, utrzymują, stojąc u steru rządu, dawne autorytarne metody działania.

Polacy mają dosyć wszelkiego socjalizmu, a w jego „ludzką twarz” nie wierzą nawet, gdy będzie go zachwalał A. Michnik wespół z A. Kwaśniewskim. Dziś ze zdumieniem wielu ludzi przeciera oczy, czytając stwierdzenie Michnika w „Nowych Wremiach”, że „tylko ślepiec może nie dostrzec komunistów wśród zwolenników reform”. A przecież jeszcze niedawno słyszeliśmy, że komunizm jest nierreformowalny! Ta nagła zmiana niepokoi i zastanawia. Sentymenty dawnych komunistów względem obecnych, już dzisiaj mają ułatwić przebranie ich jutro w socjaldemokratyczne kostiumy. To więcej niż pewne, że po Mazowieckim lub jego następcy, o ile społeczeństwo na czas tego nie dostrzeże i nie oprzytomnieje, ludzie partii lewicy „S” i „reformatorów” z byłej PZPR przejmą rząd. Będą dysponowali wyrobioną kadrą, zasobami materialnymi i znakiem „S”, który dla nich tylko zostanie nadal zastrzeżony.

— A więc każda demokracja, byle bez dodatków „socjalistyczna” czy „socjaldemokratyczna”?

— Tak, jest dzisiaj dla Polaka do przyjęcia. Ta ostatnia, już przez pierwszy człon, chce demokrację pomniejszać. Socjaldemokracja nie zapewni u nas rzeczywistej demokracji i z tego względu, że współtworzyć ją będą komuniści. Wytworzy tylko nowy, silny monopol władzy. A ten już wielu zraził, choćby w 1989 roku przez działania Komitetu Obywatelskiego, uotóżamiającego opozycję ze swoim gronem. 40-procentowa absencja w wyborach czerwcowych wiele mówi.

Ow ten monopol sprawił, że dziś nie ma w Sejmie i Senacie osób, które już od 1956 roku, a nawet wcześniej, były w opozycji. W obu Izbach po stronie Komitetu Obywatelskiego około połowa składu to byli towarzysze partyni, a wśród bezpartyjnych znaleźli się tacy, którzy w dawnym Sejmie popierali równie gromko rząd Piotra Jaroszewicza, jak obecnie Tadeusza Mazowieckiego. Czy można to zjawisko uznać za normalne?

Gdyby nie monopolistyczne tendencje Komitetu Obywatelskiego, z powodzeniem mogli znaleźć się w parlamencie, obok Kuronia także Siła-Nowicki, obok Michnika także Switoń. Nic nie straciłby ze swego prestiżu parlament, gdyby zasiadał tam Moczulski czy Korwin-Mikke. Proszę zwrócić uwagę, ileż zyskał rząd Mazowieckiego poprzez fakt udziału w nim prof. Krzysztofa Skubiszewskiego. A przecież nie wywodzi się on ani z rodziny, ani z dworu, ani ze świty.

— „Dzieci monopolu robią monopol” — powiedział Lech Wałęsa...

— Ostrzeżenia Wałęsy są wymowne. Gdyby monopol PZPR został zastąpiony monopolami partii lewicowej, socjaldemokratycznej, wykorzystującej symbol „S”, będący przecież własnością całego narodu, to niezbędna byłoby rzeczka, by dla równowagi powstała silna i zwarta chrześcijańska partia robotnicza. Jej przywódcą może być Polak, z którym chrześcijańska opozycja i symbol „S” w odbiorze społecznym wiążą się najsilniej.

— Dziękuję za rozmowę.

Lublin, 2.01.1990.

Rozmawiał: Edward Balawajder

NASZE POLSKIE PORNO, CZYLI RZECZ O „EMMANUELLE” I O SZKODLIWOŚCI CENZURY

Ziemowit Michalski

TRWA walka o likwidację Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Prawomyślności i Czegoś Tam Jeszcze. Walka o tyle śmieszna, że ów Główny Urząd, czyli po prostu cenzura, praktycznie już nie ma co robić. Jeżeli w — bądź co bądź — piśmie wydawanym przez RSW „Prasa” napiszę, iż komunizm jest największą zbrodnią ludzkości, ZSRR przez lata całe dążył — przy przychylnym aprobowaniu rządzącej w PRL klikki — do likwidacji Polski jako samodzielnego państwa, to cenzor jedynie ziewnie i jedyną możliwą jego reakcją może być to, że popłami mi maszynopis konsumowaną właśnie (oj, zarobki już nie te) kanapką z salcesonem brunszwickim.

Przyznam, że boleję nad tym faktem, gdyż przez ostatnie lata budowałem popularność swoich tekstów na zaznaczonych ingerencjach cenzorskich. Dzisiaj zapracowałem na nie jest bardzo trudno i trzeba w tym celu podać dokładny adres jakiejś jednostki wojskowej. Na przykład w tekst o zupełnie czymś innym wpieść muszę tajną informację, że w Lublinie, naprzeciwko hotelu „Unia”, między dawnym gmachem dawnego Urzędu Ziemskiego, a tzw. — wzniesioną przez Niemców — „basztą” jest chyba jakieś wojsko, bo stoją tam jakieś czołgi i działa, a na bramie wisi szyld: „3-cia Pomorska Dywizja Zmechanizowana im. Romualda Traugutta”.

Wśród wypowiedzi o cenzurze dominują głosy wielce krytyczne. Oskarża się ją o tłumienie wolności słowa, hańbienie kultury narodowej itd. Z rzadka bo z rzadka, ale jednak, spokać można także nieśmiało głosy obrońców tej — starej jak świat — instytucji. Najpoważniejszym — w sensie rezonansu społecznego — z wypowiedzianych przez nich argumentów jest ten, że w przypadku likwidacji wszelkich form kontroli „zaleje nas pornografia”. Czego — niepomni starego ludowego przysłowia, iż nie ten świnia, kto pokazuje, lecz ten, kto patrzy — obrońcy bardzo się boją.

Jak na razie ci, którym Bóg powierzył moralność Polaków, są górą. Świadczą o tym cięcia dokonane na pierwszej, jaka do nas dotarła, jaskółce wymienionej

Dokończenie ze str. 1

— Krzyna, niegdyś sztandarowa inwestycja rolna, która miała całkowicie odmienić rolniczo tę część Lubelszczyzny. Nawet trudno powiedzieć, czy jest to inwestycja chybiona. Kanał spełniałby swoje zadania w zakresie odwodnienia i nawodnienia, gdyby dochowano wierności założeniom w zakresie konserwacji i eksploatacji.

— W każdym razie w niewielkim stopniu ożywił hodowlę bydła. Dwadzieścia lat temu specjaliści zachodzili w głowę, dlaczego wzrasta tam nie hodowla bydła, lecz trzody. Okazało się, że chłopcy wolą sprzedawać siano poza region.

— Zabrakło tego, co nazywamy infrastrukturą rolną. Ale pomińmy tę sprawę. Otóż kanał rozpoczyna się w Borowicy koło Krasnegostawu. Teren jest tam mocno pofalowany, o dużych skłonach, a gleby mocno nawożone mineralnie. Nawozy są łatwo wypłukiwane do kanału, płyną do zbiorników i jezior. Z każdym kilometrem stężenie rośnie. To właśnie kanał przekształcił warunki obiegu wody w tym rejonie. Miał to być system odwadniająco-nawadniający. Nie spełnia należycie obydwu warunków. Do nawodnień potrzebny jest sprawny system rozprowadzający. On niby istnieje, ale jest nieskuteczny.

— Dlaczego?

— Z kilku powodów. Kanał nie dostarczał potrzebnej ilości wody zaraz po zbudowaniu. Z każdym rokiem stawał się pod tym względem coraz mniej skuteczny. Inny od spodziewanego okazał się przepływ wody. Zaniebawiano konserwację. Koryta kanałów zarastały trawą, a to zmniejszało tempo przepływu, wzrastała szorstkość dna. Spółki wodne i zarząd kanału nie działały sprawnie. Brakowało środków, sprzętu, na przykład kosiarek wodnych. Okazało się też, że za duże jest przesiąkanie wody przez dna zbiorników retencyjnych.

— Z tego powodu kilkanaście lat temu rozważano np. wyścielenie folią dna zbiornika w Żelaznie.

— Tak. W sumie kanał osusza tereny, ale ich nie nawadnia w okresach letnich. On tylko zasila zbiorniki. Przyjmują wodę, lecz jej nie oddają. Zamieniają się jakby w odstożniki biogenów. Te przyspieszają rozwój roślinności wodnej, która obumierając produkuje nadmierne ilości siarkowodoru, ten zaś zabiera tlen z dolnych warstw wody. Jezioro Zagłębockie pobiera wodę, ale nigdy nie spełniało oczekiwań w zakresie nawadniania. Z kolei jezioro Biczewskie w ogóle nie pobiera wody z kanału, ale to i lepiej, przynajmniej nie jest zatrutowane. Co więcej, obwałowania tego jeziora chronią je przed przesiąkaniem z przy-

gatunku, osławionej „Emmanuelle”. Cięcia tak przy tym niechlujne, iż początkowo myślałem, że to pan kinooperator powiększył swoją domową kolekcję. Dopiero później z lamów lubelskiej prasy dowiedziałem się, że owa kradzież dokonana się w majestacie i ku glorii prawa. A zatem dalej istnieję ktoś bardziej odporny na zgorznie niż reszta obywateli, kto decyduje, jakie figury owa reszta oglądać może, przy jakich zaś doznałaby zbyt dużego uszczerbku moralnego.

Powyższy przypadek skłonił mnie do odświeżenia sobie wspomnień na temat cenzury obyczajowej w powojennej Polsce. Okres pierwszy, rewolucyjny i bohaterski, charakteryzował się kompletnym aseksualizmem. Przewodnik i przewodnica pracy po wypełnieniu 723 procent normy, potępieniu zbrodniczej klikki Tito i chóralnym odśpiewaniu „My z zetempe, my z zetempe”, nie mieli już głowy do „tych rzeczy” (logiczne — zwłaszcza w świetle doświadczeń późniejszych — wydaje się zatem przypuszczenie, że blisko trzyprocentowy przyrost naturalny był efektem wyłączonej działalności wrogów ludu, którzy nie pracowali, tylko chędożyli).

Po 1956 roku pojawił się nurt nowy. Polegał on na bardzo prostym w istocie manewrze. Funkcję pornografii pełniło wtedy pisanie (krytyczne) o pornografii. Wystarczył streszczyć — z dość dokładnym opisaniem tzw. „momentów” — film czy powieść uchodzącą za pornograficzną, aby w zakończeniu poddać miażdżącej krytyce zgniliznę moralną Zachodu. Jest oczywiste, że tak podana potrawa była strasna zarówno dla cenzorów z Głównego Urzędu, obercenzorów z Kace, jak i wygłodzonej publiczności. (Celował w tym zwłaszcza nieoceniony Jan Gerhard, za którego czasów „Forum” cieszyło się wielką popularnością, zawsze starając się, aby ludek miał co poczytać i pooglądać).

Ten, powiedziałbym: analityczno-krytyczny, wariant polskiego porno trwa w istocie do dzisiaj. Wiadomo, czego domaga się (głosząc zakupami) publiczność. Wiadomo, na czym można zarabiać. Tyle tylko, że dla wydania książki czy roznowszczenia filmu trzeba znaleźć odpowiedni pretekst.

ległych użytków rolnych wypłukiwanych nawozów mineralnych, w sumie więc uchodzi za jezioro stosunkowo czyste. Ale to wszystko dzieje się wbrew pierwotnym założeniom budowniczych kanału. Gdyby zadanie gromadzenia wody powierzono tylko zbiornikom sztucznym, byłoby pół biedy. Ale w system retencji włączono również jeziora: Czarne, Białskie, Krasne, Zagłębockie, Łukcze.

— Jakże na skutki trwałego odwadniania łąk, dawnych mokradeł, bez ich sezonowego nawadniania?

— Różnorodnie. Co przyroda budowała przez miliony lat, teraz zostało narażone na gwałtowne przeobrażenia w skali lat kilkunastu. Dotyczy to roślinności, ryb, ptactwa, poszycia bagien, łąk, a nawet lasów. Ginią rośliny reliktywne, owady, wynoszą się niektóre gatunki ptactwa. Zmienia się krajobraz osuszonego

POJEZIERZE

Pojezierza. Badając mapy lasów sprzed stu i więcej lat, odkrywamy, że było ich tutaj wówczas mniej niż obecnie. Wszędzie dzieje się odwrotnie — lasów ubywa. Tu przybywa. Czy należy się z tego cieszyć? Rzecz dyskusyjna. Na skutek dawniej powolnego, ale od czasu budowy kanału gwałtownego osuszania łąk, bagien, tam gdzie przedtem mogły utrzymać się tylko trawy bagienne, łozy i tataraki, teraz wdiera się las. Jest to układ sztuczny, wymuszony gwałtownymi przeobrażeniami stosunków wodnych, a to, co wymuszone, jest niepewne.

— Pojezierze jest uznawane za początek dawnego Polesia. Przemija ów sławny „Polesia czar”. Podobno osuszone lekkie gleby stepowieją. Szczególnie nasila się to na terenie osuszonego Polesia Białoruskiego.

— Trudno się temu dziwić.

— Znajomy posiadający dach nad Piasecznem kilkanaście lat temu wbił dębowy słupek do wiązania łodzi w odległości dwóch metrów od lustra wody, twierdzi, że brzeg jest obecnie oddalony od słupka o kilkanaście metrów! Czy potwierdzacie taki spadek poziomu?

— Poziom lat ostatnich jest o cały metr niższy od poziomu z roku 1982. Hydrologzy pocieszają się tym, że mamy obecnie długą, miętą nadzieję kończąca się passem lat wyjątkowo suchych. Nie wiemy dokładnie, jaki był poziom w dawnych czasach, tych sprzed kanału. Osobliwością tych terenów jest również to, że mieszka tu bardzo mało autochtonów w podeszłym wieku. Były to tereny wysiedlane, nasiedlane, po woj-

Ponieważ z wolna pomysł z „moralnym oburzeniem nad zgnilizną Zachodu” nieco się wyczerpał, śmielej zaczęto sięgać po uzasadnienie artystyczne. Bo to dość sprawiedliwe, bowiem pozwoliło zarobić także piśmiennemu wyższego nieco lotu. Troszeczkę finansowo podkuły się i „Poezja” i „Literatura na świecie” i (neo) „Pismo”, a nawet „Twórczość”. Malutkim pozostała reklama naturyzmu — jako zdrowej i postępowej reakcji na zanieczyszczenie środowiska — oraz korzystanie z faktu, że granica tego, co za pornografię jest uważane, z wolna się przesuwała.

Problem, jak pogodzić dupę z nozyczkami, nie był wymyślem wyłącznie polskim. Nieliczne jedynie kraje wybrały „wariant skandynawski”, w którym cenzura zniesiono w ogóle i spokojnie poczekano, aż porno-szopy i porno-budy zbankrutują. Większość krajów dochodziła do swojej wolności w sposób zbliżony do naszego. Zmuszało to twórców do produkowania tzw. dzieł ambitnych.

A zatem warunkiem tego, aby pokazać na ekranie stosunek analny, było przedstawienie alienacji głównego bohatera i bohaterki, którzy musieli w tym celu snuć się bez celu po ekranie dwie godziny i wypowiadać zupełnie niezrozumiałe kwestie („Ostatnie tango w Paryżu”). Warunkiem tego, aby pokazać możliwość dużą ilość stosunków pozamażeńskich z figurami, była miazdząca krytyka moralności mieszczańskiej (jakby nie wystarczyło logiczne uzasadnienie, iż papienka po prostu lubi się puszczać — „Emmanuelle”). Natomiast warunkiem pokazania scen sadystycznych była albo działalność przestępców, którzy w celach zarobkowych zniewalają niewinne dziewczęta (poniosą przestępstwa w zakończeniu filmu zasłużoną karę), albo też wyobcowanie pochodzącego z nizin społecznych parobka, który mści się w ten sposób na middle-class w osobie apetycznej i marzącej o knucie nauczycielce (obydwa streszczenia dotyczą jakichś strasznych bzdur — w kolejności: francuskiej i angielskiej — nadejanych w ostatnim miesiącu w kinie nocnym telewizji).

Na obronę mojego stanowiska, a domagam się, aby zakazać komukolwiek prawa zakazywania oglądania czy czytania czegokolwiek, mam następujące argumenty:

Po pierwsze primo, stanowisko przeciwnie oznacza nadanie jakimś osobnikom większych praw niż moje (do owego czytania i oglądania), a zatem jest uznaniem mnie za osobnika gorszego, mniej godnego zaufania itd.

Po drugie primo, brak jest jakiegokolwiek dowodu na to, aby pokazywanie jakiegokolwiek konfiguracji stosunków seksualnych (liczba ich jest skończona i wynosi pięć, te pięć rodzajów miłości to: on z nią, on z nim, ona z nią, ja ze sobą oraz nasza miłość do komunizmu) w jakiegokolwiek — mniej czy bardziej akrobatycznej — pozycji wpływało szkodliwie na moralność społeczną niż purytyzm (zwanego przez Sokorskiego „Bolek — jebaka”) Bieruta czy

Ceausescu. Old reguły tej zrobić trzeba jeden oczywisty wyjątek — pedofili. To jednak, jak to określił senator Krzysztof Kozłowski, „nie ze względu na widzów, lecz przez wzgląd na aktorów”.

Po trzecie primo, z moim przekonaniem o nieszkodliwości pokazywania owych rytmicznych, wspartych dźwiękami posapywania (czyli, wedle popularnego określenia, „hydrauliki”) ruchów frykcyjnych koresponduje przeświadczenie o pewnej szkodliwości dorabiania do hydrauliki ideologii. Wespę się tutaj najświeższym przykładem „Emmanuelle”. W chwilach wolnych od koitusowania bohaterowie filmidła wygłaszają istne libertynskie tyrrrrrady o tym, iż: człowiek jest wolny, że wszyscy powinniśmy się kochać, że liczy się tylko przyjemność, że jeden człowiek nie może zubażać drugiego, pozabawiając go możliwości przeżywania rozkoszy z żoną przyjaciele, mężem kochanki czy też owieczką hodowaną przez stryjka.

Jak zatem mniemam, owo uzasadnienie pokazania „tego, co sam pan wiesz i rozumiesz”, staje się bardziej szkodliwe niż owo „coś”. Przeciętni młodzieńszkowie (powyżej lat osiemnastu) na ogół nie wierzą już w bociana (brali „to” zresztą na lekcjach przysposobienia do życia w rodzinie). Mogą natomiast nie wiedzieć, iż żadnej absolutnej wolności nie ma i jutro trzeba na szóstą zasuwać do fabryki, że można się kochać i „kochać”, iż nie zawsze przeżywanie przyjemności daje rozkosz, nie mówiąc już o tym, że zdradzenie żony z owieczką stryjka może być wprawdzie wcale przyjemne dla owieczki, ale równocześnie nie musi być także dla żony (o stryjkę już nie wspominając).

Po czwarte primo wreszcie, lubię sytuacje czyste, a nie lubię obłudy. W pewnych sytuacjach niejasnych potrzebne są jasne i jednoznaczne ustalenia. Trzeba zachowywać się po męsku. Tak jak to zrobił Jan Himilbach. Zakwaterowany w Oborach w jednym pokoju z Jarosławem Iwaszkiewiczem już na wstępie zapytał: „Panie Jarku, no to ja, siusiamy do zlewu czy nie”. Nie wolno propagować prohibicji i równocześnie zezwalać na ówiarteczkę — dla dobrego trawienia — do obiadu.

Ponieważ zdeklarowałem się jako zdecydowany przeciwnik obłudy, w zakończeniu wyjaśnić muszę rzeczywiste przyczyny napisania tego tekstu. Bynajmniej nie napisałem go dlatego, że dotyczy on tematu społecznie ważnego. Ani też dlatego, iż obawiam się, że nastąpi zmasowany atak na moją obywatelską wolność.

Bynajmniej. Idzie po prostu o to, że bardzo wzrosła cena gazety i realna jest obawa, że ludzie będą mniej ją kupować. A ponieważ ludzie lubią pornografię (i głosują za nią zakupami), swoją podaż musiałem dostosować do istniejącego popytu. Z tych samych powodów Waldemar Stępień dokonał znakomitej, artystycznej „świerszczykowej” kreacji. Przeko-

nać się państwo sami, jaki z Pana Waldemara mistrz nad mistrze. Mimo papieru malkulaturowego piątej klasy i słynnych w świecie z jakości druku Lubelskich Zakładów Graficznych wszystko widać jak na dłoni.

PS. Aha, tak á propos. Jakby ktoś z PT Czytelników miał coś ciekawego, to proszę zadzwonić do redakcji. Pooglądamy.



Fot. Waldemar Stępień

nie długo objęte walkami zbrojnego podziemia. A takie wsie jak Albertów czy Wesolówka były wsiami wyłącznie niemieckimi i nie mieszka tam obecnie żaden prawdziwy, stary autochton. Niewiele wiemy o poziomie wód nawet z ostatniego dwudziestolecia. Wodomierze są systematycznie dewastowane.

— Przed laty nie sposób było dojść suchą stopą do lustra wody pięknego tajemniczego jeziora Czarnego. Tera — bez trudu.

— To jezioro znajdowało się w otoczeniu rezerwatu bagienno. Mówię: znajdowało, bo już się nie znajduje. Bagna zostały osuszone.

— Znow wina kanału?

— Niemal wyłączna. Dodać jeszcze trzeba jakąś tam cząstkę ogólnopolskiej tendencji zmniejszania się za-

— W sumie odnoszę wrażenie że pan docent z lekka broni lobby górniczego. Wasz Zakład Hydrografii wykonuje słone prace rozpoznawcze w tego zakresu dla leżących kopalni...

— Słowo lobby w tym kontekście brzmi groźnie, jednoznacznie. Nie bronię ani nie ganię, nie jestem pod naciskiem owego lobby. Krytycznie widzę to, co budzi nasze zastrzeżenia. Uważam, np., że źle się stało, iż na kopalnię pilotującą wybrano Stefanów i Bogdanek. Obecnie zaś postulujemy, aby rozwój kopalnictwa leżycyńskiego (jeśli będzie dalej postępował) oddalał się od jezior, szedł w kierunku wschodnim, na południe od Swinki.

— Czy z hydrologicznego punktu widzenia istnieje groźba, że pewnego dnia wody ląkowej jeziora nagle spadną na głowy górników na głębokości 500-600 metrów?

— Taka groźba nie istnieje. Zbyt dużo szczelnych warstw broni górników od takiego kataklizmu.

ODSTOJNIKIEM BRUDÓW

sobów wodnych, opadania poziomu wód itd.

— A może by tak całe Pojezierze okrzyknąć rezerwatem?

— Okrzyknąć łatwo, trudniej dochować warunków rezerwatu. Wojewoda lubelski ciągle zwleka z powołaniem parku krajobrazowego na tym terenie. A przecież klauzula parku krajobrazowego jest najłagodniejsza, daleko mniej rygorystyczna od wymogów rezerwatu. A mimo to nie możemy się doczekać choćby parku krajobrazowego.

— W potocznym rozumieniu za jednego z groźnych niszczycieli pierwotnego obrazu Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego uważa się kopalnię Bogdanek i Stefanowa. Czy słusznie?

— Uważam, że nieluznie, choć nie brak specjalistów, którzy widzą takie zagrożenia. Jak dotąd, jedyna i ewidentna uciążliwość kopalni Pojezierza to solanki wydobywane na powierzchnię i odprowadzane do Swinki oraz do Wieprza. Oczywiście, najlepszym rozwiązaniem byłoby odprowadzać je systemem rur bezpośrednio do Bałtyku, ale na razie jest to projekt z gatunku science fiction. Na szczęście, wody pochodzące z procesu wydobywczego na Pojezierzu Łęczyńskim są o wiele mniej zasolone od wód śląskich. To samo dotyczy proporcji zanieczyszczenia węgla. Pozostaje sprawa hałd. One także różnią się od śląskich. Są np. dobrym surowcem do produkcji elementów ceramicznych. Nie zaturują środowiska. Owszem, zajmują pewną powierzchnię, będzie ich przybywać.

— W takim razie wyjdąmy na powierzchnię. Pojezierze Łęczyńskie. Jego jeziora stają się niesamowicie modne w aspekcie, nazwijmy go, daczowo-weekendowym. Czy sobotnio-niedzielne tabuny lublinian nie są zagrożeniem dla środowiska?

— Znacznym. To wielki problem. Będzie on narastał gwałtownie, choćby ze względu na bliskość Pojezierza, ceny paliw i związaną z tym konkurencyjność cenową wczasów górskich, morskich. Ten problem rozpada się na cały szereg zagrożeń: rozjeżdżanie i zadeptywanie znacznych połaci Pojezierza, sprawa parkingów, śmietników, nieuciążliwej gastronomii.

— Wypad samochodem nad jeziora to okazja do umycia samochodu za darmo, wymiany oleju, dyskretnego wylania starego oleju pod krzaczek...

— Otóż to. Dochodzimy w naszej rozmowie do tego, co jest w zasięgu możliwości naszego oddziaływania i tu widzę główny kierunek i potrzebę istnienia powstałego Stowarzyszenia Ochrony Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego. Idzie o szerzenie nawyków, o kulturę zachowań w środowisku, a jeśli zajdzie potrzeba, to organizację systemu restrykcji wobec wandalów, niechlujów. Jest pod tym względem ogromnie dużo do zrobienia. Dotyczy to nie tylko wczasowiczów, właścicieli dacz, ale również ludności miejscowej. Wciąż jeszcze pokutuje wśród mieszkańców naszych wsi, zwłaszcza na terenach do niedawna zaniedbanych rolniczo, słabo zabudowanych, przeświad-

zenie, że otaczająca ich przyroda jest niewyczerpanym rezerwuarem, danym im wiecznie i niezniszczalnym. Trzeba przelamywać te pokoleniowe przyzwyczajenia przez zorganizowane formy edukacji ekologicznej, jak też poprzez codzienne, osobiste, sąsiedzkie kontakty. To również podstawowy kierunek działania powstałego Stowarzyszenia.

Stowarzyszenie musi oddziaływać na władze lokalne, gminne, na przedsiębiorstwa działające na tym terenie. Szczególnie agresywne jest współczesne rolnictwo z jego preparatami ochrony roślin, nawozami mineralnymi. Jeżeli do tego dodać niekiedy zupełnie nieodpowiedzialne obchodzenie się z tymi środkami, mycie zbiorników po opryskach nad wodą jeziora czy rzeczki, wylanie resztek byle gdzie, brak śmietników, wysypisk dla toksycznych odpadów, to po dodaniu tych zachowań do podobnych „dokonań” zwiększającej się liczby wczasowiczów, otrzymamy zatrważający stan zagrożenia tego, co jeszcze ocalało, czego nie zniszczyły skutki melioracji.

— Trochę mi śmieszno: nad jeziorami posiadają daczę, dżanki, wspaniałe domy wypoczynkowe ludzie tak maśni, tak majetni, a zwłaszcza wpływowi, że wydawać by się mogło, iż tworzą oni w sumie lobby nie do pokonania.

— Sporo w tym prawdy. Idzie o to, aby z tego groźna ludzi osobicie, uczuciowo związanych na dobre i złe z Pojezierzem, uczynić społeczność zorganizowaną, wspólnie i świadomie działającą w obronie tej pięknej i jeszcze nie zniszczonej enklawy przyrody i wypoczynku.

— A skąd fundusze na te poczynania? Nawet list zawiadamiający członków o zebraniu kosztuje kilkaset złotych.

— Sądzę, że członkowie Stowarzyszenia zadeklarują składki członkowskie gwarantujące przynajmniej formalne istnienie Stowarzyszenia. Na inne akcje trzeba będzie jakoś „organizować” fundusze.

— Czy w samej nazwie: Stowarzyszenie Ochrony Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego nie kryje się zawężenie terytorialne, zainteresowanie tylko jedną, zamkniętą enklawą przyrody?

— Możliwe, ale nam chodzi o ratowanie tutejszego i unikalnego wycinka przyrody. Sądzę, że w kraju będzie istniało wiele podobnych lokalnych stowarzyszeń. Potrzebna będzie współpraca, wymiana doświadczeń. Na naszych oczach rodzi się przecież silne krajowe lobby ekologiczne. To pociesza. To stawia nas już nie w roli dziwaków, maniaków marginalnej sprawy, jak w poprzednich dziesięcioleciach działo się z wybitnymi naukowcami, którzy widzieli zagrożenia ówczesne i perspektywiczne, tylko nikt ich poważnie nie traktował.

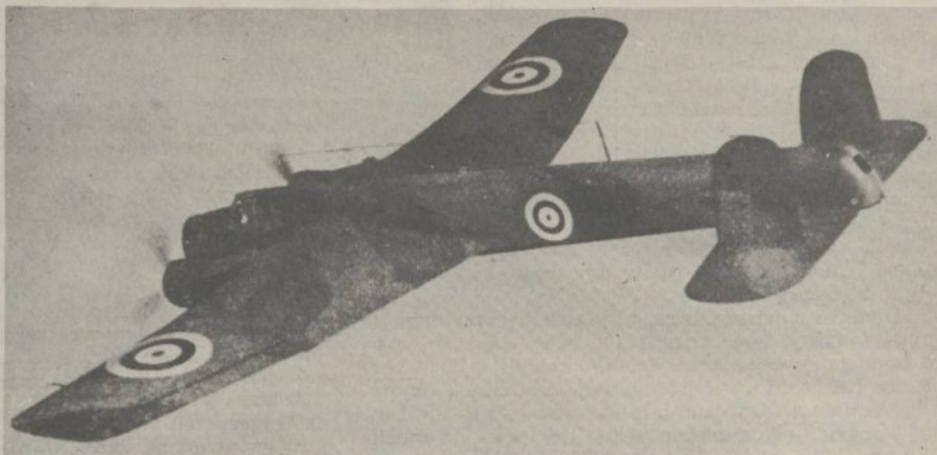
— Dziękuję za rozmowę. Do zobaczenia nad Zagłębiem, Piasecznem lub jeziorom Czarnym.

Rozmawiał: Henryk Pająk



Fot. 1

„Cichociemni» na Lubelszczyźnie”



Fot. 2

FOTO - POSTSCRIPTUM



Fot. 3



Fot. 7

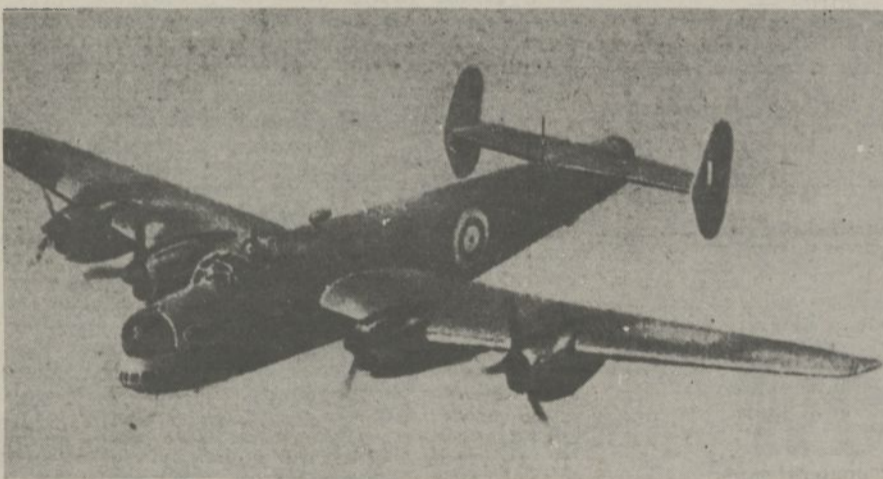


Fot. 9

Tadeusz Chwałczyk

CZTEROODCINKOWA publikacja Wojciecha Kozłowskiego ps. „Tomek” zaprezentowana w „Relacjach” — nr 48, 49/50, 1 (51), i 2 (52) — pod tytułem „Cichociemni» na Lubelszczyźnie”, aż prosi się o zdjęciowe uzupełnienie. Nie zachowało się tych zdjęć zbyt wiele. Wiadomo, czas konspiracji nie sprzyjał fotograficznej dokumentacji zdarzeń. Po wojnie natomiast wielu żołnierzy AK, często właśnie w oparciu o przechowane zdjęcia, zostało zdekonspirowanych i poddanych represjom. Inni, w obawie o życie własne i kolegów, zniszczyli posiadane fotografie z lat walki.

Zachowując chronologię zdarzeń dotyczących „Cichociemnych”, prezentuję nocne zdjęcie (fot. 1) pałacu lady Dorothy Braybrooke w Audley End koło Saffron Walden, w pobliżu Cambridge. Mieściła się w nim stacja SOE nr



Fot. 4



Fot. 8



Fot. 5



Fot. 6



- | | |
|---------------------------------|-----------------------------------|
| 1. Jan Woźniak - „Kwaśny” | 5. Franciszek Rybka - „Kula” |
| 2. Bolesław Kontrym - „Żmudzin” | 6. Hieronim Łagoda - „Lak” |
| 3. Wacław Kopisto - „Kra” | 7. Władysław Kochański - „Bomba” |
| 4. Tadeusz Gaworski - „Lewa” | 8. Mieczysław Eckhardt - „Bocian” |
| | 9. Stanisław Winter - „Stanley” |

43 (Special Operations Executive — Kierownictwo Operacji Specjalnych), jeden z kilku na terenie Wielkiej Brytanii tajnych ośrodków szkolenia „Cichociemnych”. Komendantem stacji w Audley End był płk Terry Roper-Caldbeck, a całością spraw polskich kierował mjr Józef Hartman. Prowadzono tu dwa najważniejsze kursy: walki konspiracyjnej i odprawowy (ostatni przed odlotem do kraju). Większość z 316 „Cichociemnych”, zrzuconych do Polski, przeszła przez pałac lady Braybrooke.

Stacja w Audley End funkcjonowała jednak dopiero od maja 1942 roku, a pierwszy eksperymentalny zrzut dwóch oficerów — „Cichociemnych” i jednego kuriera politycznego nastąpił przecież o ponad rok wcześniej. Brytyjczycy mieli wówczas do wyboru 7 typów samolotów, z których jednak żaden nie dysponował odpowiednim zasięgiem (odległość z Londynu do Warszawy w linii prostej wynosiła prawie 1500 km). Ostatecznie na początek wytypowano samolot Armstrong-Whitworth „Whitley-II” (fot. 2). Ta ciężka i powolna maszyna miała zasięg w granicach 1400 kilometrów. Zamontowano w niej dodatkowe zbiorniki paliwa i dorobiono zaczepy na linki wyzwalające spadochrony. Tak wyposażony „Whitley”, ze 1419 eskadry specjalnego przeznaczenia RAF, wystartował wieczorem 15 lutego 1941 roku z lotniska Newmarket w drogę do Polski. Załogę stanowili pil. F/L Keast, który był jednocześnie dowódcą, i nawigator P/O Mc Murdie.

Na pierwszych skoczków oczekiwała placówka pod Włoszczową w Kieleckim, ale Brytyjczycy, decydując się na najkrótszą trasę wprost nad Niemcami (później latano dłuższą, lecz bezpieczniejszą ponad Morzem Północnym i Bałtykiem, a następnie z Włoch), nie odnaleźli punktu zrzutu. Wobec małego zapasu paliwa nie mieli czasu na jego poszukiwanie i wyrzucili skoczków „na dziko”.

Kapitan lotnictwa (jeszcze wówczas nie major) Stanisław Kostka Krzymowski ps. „Kostka” (fot. 3) i porucznik kawalerii (w momencie skoku) Józef Zabielski ps. „Zbiłk” oraz kurier polityczny Czesław Raczkowski ps. „Włodek” nieoczekiwanie wylądowali na terenie włączonym do... Rzeszy (koło wsi Dębowiec w pobliżu Skoczowa, na Śląsku Cieszyńskim).

W drugiej operacji (pod kryptonimem „Ruction”), w której polską już załogę dowodził na „Halifaxie” (fot. 4) kpt. nawig. Stanisław Król, polecili: por. lotn. Niemir Stanisław Bidziński ps. „Karol Ziege” (fot. 5) i słynny z późniejszych brawurowych działań bojowych — por. art. Jan Piwnik ps. „Donat”, „Ponury” (fot. 6). Na pokładzie znajdował się także doradca lotniczy Oddziału VI Naczelnego Wodza — ppłk pil. Roman Rudkowski (fot. 7), obserwator operacji, który potem pod pseudonimem „Rudy” jako jedyny z „Cichociemnych” dwukrotnie skakał do kraju (25/26.01.1943 r. i 17/18.10.1944 r.).

Pierwszym „lubelskim Cichociemnym”, którego mamy na dwóch fotografiach, jest ppor. piech. Michał Fijałka, używający w momencie skoku pseudonimu „Kawa” (później, już w czasie walk na Wołyniu i Lubelszczyźnie — „Sokół” i „Wiesniak”). Pierwsze zdjęcie (fot. 8) wykonane zostało w Anglii 28 sierpnia 1942 roku, a więc na trzy dni przed odlotem do kraju. Widzimy na nim — w głębi, z lewej — personel szkoleniowy ośrodka (w mundurach), a z prawej (po cywilnemu) grupę „Cichociemnych”, przygotowanych do przerzutu. Na pierwszym planie natomiast gen. Władysław Sikorski ściska dłoń ppor. Michałowi Fijałce po dekoracji go Krzyżem Virtuti Militari (za udział w kampanii francuskiej) i Krzyżem Walecznych. Szkic sylwetkowy pozwala rozpoznać na zdjęciu pozostałych „Cichociemnych”.

Fotografia ta omal nie stała się przyczyną dekonspiracji „Cichociemnych” już w kraju, gdyż w jakimś sposób dostała się w ręce niemieckiego kontrwywiadu.

Kolejne natomiast zdjęcie (fot. 9) Michała Fijałki (po skoku awansowanego na porucznika) wykonane zostało we wrześniu 1942 roku w Warszawie do fałszywej kenkartki.

W jednym z najbliższych numerów „Relacji” zaprezentuję ciąg dalszy foto-kroniki „Cichociemnych”, pochodzącej z moich zbiorów.

LISTY

„Dramat na Podlasiu”

Przeczytałem w „Relacjach” o „Dramacie na Podlasiu”, co również znam, bo to moje strony rodzinne. Ale przy okazji przypomnieli mi się inne dramaty.

We wsi Ptaszki pewnego dnia funkcjonariusze UB otoczyli dom stojący pod lasem i, zamknąwszy drzwi i okiennice, podpálili go, jak również budynki gospodarcze wraz ze zwierzętami. Gdy nadbiegli ludzie ze wsi i chcieli otworzyć, by uwolnić gospodarzy, odmówiono: „To bandyci, niech się spalą”. Nie, tym razem nie spalili się, ponieważ wcześniej uszli w las.

Inny dramat. W pościgu za oddziałem WiN-u we wsi Rzeszotków także funkcjonariusze UB obrzucili dom granatami, ale czy kto zginął, dobrze nie wiem. Mówiono tylko o rannych z WiN-u, których nie pozwolono opatrzyć miejscowym sanitariuszkom, tylko wrzucono na terenowego „łazika” i wożono po polu. Pozostałych schwytych sądzą na podwórku szkoły w Krześlinie i skazano na śmierć. Sąd zapytywał ich, czy działali jako banda rabunkowa, czy jako organizacja? Jako „banda” otrzymaliby wyrok najwyżej kilku lat więzienia, ale jako organizacja wroga „Polsce Ludowej” otrzymali wyrok śmierci. Wśród skazanych był Bogusław Pałka z Krześlina, innych nie pamiętam.

Trzecia sprawa to już nie dramat, ale niestychana zbrodnia. 13 kwietnia 1945 roku w Siedlcach na wszystkich rogatkach znaleziono zmasakrowane zwłoki kilku mężczyzn. Okrzyknęto, że to zrobili „bandyci”. Kto tylko o tym zastanawiał, biegał oglądać. Żadnej twarzy rozpoznać się nie dało. Zwieziono ciała do kostnicy przy szpitalu, dokąd w dalszym ciągu schodzili się zaciekawieni ludzie. I naraz sensacja. matka poznaje swojego syna po jakiejś brodawce na ręku czy ramieniu — to p. Szczuka, właścicielka apteki. Druga matka rozpoznaje syna po skarpetkach — to p. Byczyńska, mieszkająca na Nowych Siedlcach, ul. Narutowicza 6. Ale przecież ci chłopcy byli aresztowani przez UB. Gdy ta wieść zaczęła się rozchodzić, podjechały samochody wypełnione funkcjonariuszami i zabrano ciała na samochody i wywieziono w nieznanym kierunku. Ja przynajmniej nie słyszałem, żeby ktoś wiedział, gdzie zostały pochowane.

Sądzę, że te zbrodnie UB także nadają się do przypomnienia, o ile dotąd nikt nimi się nie zajmował. Za ścisłość mogę ręczyć tylko co do zbrodni siedleckiej, bo osobiście rozmawiałem z p. Byczyńską jako stryjenką. Razem zamordowanych było 27 czy 29 — już nie pamiętam.

Kończąc, życzę, aby „Relacje” jak najwięcej działy na polu odkrycia zbrodni przeciwko własnemu narodowi i podnosiły ducha patriotyzmu w obecnym pokoleniu, które było tak długo oszukiwane i deprawowane.

(Imię, nazwisko i adres — do wiadomości redakcji)

Co byli winni?

Na przełomie 1944/45 r. w Zwierzyniecu została zorganizowana jednostka wojskowa — 2 Samodzielny Szkolny Pułk Samochodowy. Zadaniem tej jednostki było szkolenie kierowców dla wojska, a tym samym i dla gospodarki narodowej. Byłem jednym z pierwszych w tej jednostce.

W lutym 1945 r. został powołany nowy rocznik 1925 do LWP, w tym spora grupa do mojej jednostki. W marcu jednostka nasza zaczęła się przemieszczać ze Zwierzynca do Otwocka - Majątek. Na początku kwietnia została nas już tylko niewielka grupa.

W dniu 12 kwietnia 1945 r. przez wieś Topulcza przejeżdżała furmanką 6 żołnierzy z naszej jednostki. Około godz. 9—9.30 zostali ostrzelani z bliskiej odległości z broni maszynowej. Na miejscu zginęli: Marian Izdebski z Parczewa (jednak, matka mieszkała przy ul. Cmentarnej 2), Kazimierz Dejko (zam. Brzostówka, b. pow. Lubartów), a trzeciego nazwiska nie pamiętam. Dwóch kolegów zostało ciężko rannych. Tylko jednego z nich nie sięgnęła zbrodnicza kula. Był to Zygmunt Socha, żyjący do dziś w Szczekarkowie k. Lubartowa. Został on rozebrany do bielizny i z butów. Zamordowanych, po otrzymaniu posiłków, szukaliśmy 3 dni. Znaleźliśmy ich w lesie przykrytych gałęziami, rozebranych do bielizny i z butów.

Chciałem podkreślić, że grupa ta jechała do sołtysa wsi Topulcza z nakazem dostarczenia 3 kwintali ziemniaków w ramach dostaw, jakie w tym czasie obowiązywały. Nie uczestniczyliśmy w żadnych innych akcjach.

Pytam: co byli winni ci młodzi chłopcy z 1925 r. i w lutym powołani do WP, nie posiadający żadnej przynależności? Przecież ich można było zatrzymać, zabrać im karabiny, a nawet mundury i buty, a nie strzelać z za węgla w plecy.

Chciałbym bardzo poznać tych wielkich bohaterów tego barbarzyńskiego zdarzenia.

Czesław Mazurek
Lublin

„Armia Czerwona na Lubelszczyźnie”

Systematycznie czytam wasz tygodnik „Relacje”. Bardzo mnie interesuje temat pt. „Armia Czerwona na Lubelszczyźnie”. Jest to temat tak zawikłany, że trudno dojść w nim do sedna sprawy. Różne źródła podają inne fakty, np. „Wojskowy Przegląd Historyczny” (nr 3 z 1989 roku) dokładnie opisuje sytuację wynikłą w okolicy Grodna, Wilna i Soboćkienic, na południu odanie (przekazanie) Lwowa. O Lubelszczyźnie ani słowa. Książka opracowana przez Ludwika Głowackiego opisuje wycofanie się „Armii Lublin” gen. Piłkora i połączenie się jednostek z wojskiem gen. Dęba-Biernackiego. Wydanie niemieckie, autor Heinz Guderian, pt. „Wspomnienia żołnierza”, opisuje ceremonię przekazania Rosjanom Brześcia, przy uroczystej zmianie flagi, w obecności generała Kriwoszeina. Wydana o Katyniu książka, z przedmową gen. Władysława Andersa, na stronie 17. akcentuje, że Armia Czerwona uderzyła na Polskę; o Lublinie ani słowa. W ostatnim okresie pojawiła się nowa pozycja pt. „Napaść sowiecka w 1939 roku”, wydana przez Polskie Towarzystwo Naukowe na obczyźnie; jest mało komunikatywna i tekstowo słabo rozwinięta. O Lublinie nic nie można się dowiedzieć.

Ciekawe były zamieszczone w waszym tygodniku teksty pt. „Armia Czerwona na Lubelszczyźnie” autor Zbigniew Muszyński. Np. w tygodniku nr 42, na stronie 12. i 13. pan Muszyński zamieścił dwa zdjęcia, na których toczą się rozmowy między niemieckimi żołnierzami a czołgistami sowieckimi, drugie zdjęcie pokazuje niemieckich żołnierzy, którzy oglądają sowieckie zwiadowcze wozy. Fakt, że kształt sowieckiego wozu pancernego, w porównaniu z niemieckim tygrysem lub panterą, to jak kanarek do słońca. Ciekawi mnie bardzo, gdzie te zdjęcia były robione, czy na Lubelszczyźnie, czy w samym Lublinie?

Widziałem szereg zdjęć twierdzy Osowiec, Augustowa, Białegostoku w Pałacu Branickich, gdzie uroczyste, przy zorganizowanych bankietach przekazywano polskie miasta. Wyjątek stanowił Lwów, który przekazano aktem w sposób służbowy, którego notabene później nie chciano honorować.

Wracając na Lubelszczyznę, pragnę się dowiedzieć, jak daleko byli sowieci od Lublina, jakie kierunki natarcia były rozwijane, gdzie przebiegała granica rozdziału wojsk rozbiorowych? Czy naprawdę szycowała się oficjalna defilada na Placu Litewskim? Wyrażam pogląd, aby napisać artykuł komunikatywny na ten temat, oparty na prawdziwych źródłach, o realnym podłożu politycznym. Na ten temat najbardziej czytam artykuły pana redaktora Zb. Muszyńskiego. Uważam, że ten temat poruszy czytelników. Obecnie odbywają się wycieczki do Katynia, wydanych zostało szereg książek, opisujących katorgę, jaką ludzie przeszli w łagrach. To są sprawy bolesne i czytane.

Jerzy Górski
Białystok

„Cichociemni na Lubelszczyźnie”

Serdecznie dziękuję za podjęcie trudu drukowania w waszym tygodniku mego szkicu historycznego o „Cichociemnych” na Lubelszczyźnie. Mam nadzieję, że — zwłaszcza dla młodego pokolenia — będzie on stanowił uzupełnienie „podręcznikowej” wiedzy historycznej.

Ponieważ na Wybrzeżu „Relacje” są zupełnie niedostępne — będę zobowiązany za łaskawe przesłanie mi, za zaliczeniem pocztowym, 3 (trzech) egzemplarzy autorskich.

Odnosnie honorarium autorskiego proszę o łaskawe przyjęcie 50 proc. na rozbudowę waszej, tak przecież potrzebnej, działalności. Resztę proszę łaskawie przekazać na ręce p. mec. Ireneusza Bieniaszkiewicza, dziekana Izby Adwokackiej w Lublinie (ul. Grażyny 1/16) dla przekazania na potrzeby Oddziału Lubelskiego Stowarzyszenia Żołnierzy Armii Krajowej.

Wojciech Kozłowski, „Tomek” ppor. AK

Z dużym zainteresowaniem czytam wszystkie artykuły dotyczące życia i działalności Hieronima Dekutowskiego „Zapory”.

W związku z cyklem artykułów Wojciecha Kozłowskiego „Tomka” — „Cichociemni na Lubelszczyźnie” — które ukazywały się na łamach „Relacji”, i artykułem Jana Ptaszkiego, napastliwie atakującym „Zapory” — „Raz jeszcze o „Zapory” — z 1 lipca 1989 r., zamieszczonym w tygodniku „Z Wolność i Lud”, w którym autor poddaje w wątpliwość stopień majora u Hieronima Dekutowskiego „Zapory”, chciałbym wyjaśnić nieścisłość.

„Zapora” nie został pośmiertnie awansowany do stopnia majora — jak pisze Wojciech Kozłowski „Tomek” w ostatnim odcinku cyklu o „Cichociemnych”. Ustaliśmy, że Hieronim Dekutowski został awansowany do stopnia majora rozkazem 619-B.P. Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj z dnia 1.06.1945 r.

Piotr Kabanowicz
z redakcji „Zapory”
Lublin

LISTY

Kpiny i ignorancja!

W ostatniej transmisji TV z obrad Sejmu doszliśmy do wniosku, że to wszystko, co tam się dzieje, przypomina jarmark, a nie forum parlamentarne. Posłowie i senatorowie z wyższym wykształceniem (mam nadzieję) zachowują się jak stado przekupek. Jeden przez drugiego starają się dowieść słuszności swoich celów, a ile przy tym szumu i hałasu robią, to szkoda wspominać. Interpelacje i zapytania poselskie. Śmiech mnie ogarnął, jak jeden z posłów zadawał pytania dla rządu, kamera w tym czasie kieruje swój obiektyw na ławy rządowe, a tam nikt nie siedzi. To są jawne kpiny ze strony rządu, żeby podczas obrad Sejmu nie było żadnego przedstawiciela, który mógłby odpowiedzieć na pytania. [...]

Druga sprawa. Zgodnie ze zdaniem specjalistów, mamy w Polsce 3000 nie wykorzystanych stopni wodnych, które w sumie dalyby tyle samo energii elektrycznej co wybudowanie dwóch elektrowni atomowych. A ile przy tym oszczędności? Ale coż my widzimy? Rząd postanowił, pomimo protestów i pikiet grupy ludzi (którzy są przeciwko budowie elektrowni w Żarnowcu), podjąć budowę tej elektrowni na własną odpowiedzialność. Są już części do reaktora i inne drobiazgi, nie ma tylko decyzji, co dalej w tej sprawie. Władza i rząd wszystko robią w tym kraju, żeby tylko zwykli obywatele nie mieli nic do powiedzenia. Zamyka im się po prostu usta w ważnych sprawach, dotyczących żywotnych interesów. Nie na tym polega rządzenie krajem, żeby ludzi prowokować, a później dziwić się, że są takie czy inne reakcje.

Minister Kuroń zbiera obecnie pieniądze na fundusz dla osób samotnych i wymagających opieki — „SOS”. Jeżeli jest ministrem pracy, to niech zajmuje się pracą. Nie mam mu za złe, że zajmuje się osobami samotnymi, jest to nawet chwalebne, ale niech to będzie w granicach przyzwoitości przynajmniej. 40-procentowa podwyżka cen i 20-procentowa obniżka płac to szok dla wszystkich pracujących. Wspaniały przykład ignorancja ze strony rządu, nieliczenia się z realiami obecnej sytuacji.

Na razie nastroje minorowe, zobaczymy po Nowym Roku. Nie trzeba zakładać różowych okularów, żeby przewidzieć skutki.

Waldemar Szewczyk
Lublin

Myślenie o sobie

Mamy od kilku miesięcy demokrację parlamentarną, ale nie mamy demokracji bezprzymiotnikowej. Mamy niekomunistyczny rząd, ale nie mamy niekomunistycznej (czyli normalnej) gospodarki. I wreszcie — nie ma już stalinizmu, ale wciąż obowiązują stalinowskie obyczaje. Stanowczo za duży jest wpływ znacznosci i sprzecznych faktów w kraju geograficznie niewielkim. Myślę, że gdyby owe „mieć i nie mieć” usunąć, okazałoby się, jak niewiele w gruncie rzeczy poszliśmy do przodu. Władze: odchodząca, czyli partyjna, i wkraczająca, czyli do niedawna opozycja — wiedzą o tym aż za dobrze. I nawet coś robią, aby sytuację poprawić. Na razie jednak skazani jesteśmy na czekanie. Czekanie jako czynność nie jest specjalnie uciążliwe: rzecz w tym iż czekając, przy okazji także się żyje. Życie natomiast w zastraszającym tempie obniża akcje.

Mówi się, że cierpienie uszlachetnia. To prawda. Ale nie każde cierpienie i nie każdego człowieka. Dzielę w Polsce cierpiemy „za frajer”. Nikt niczego nie zyskuje. W dodatku wiemy, że moglibyśmy nie cierpieć. O wiele łatwiej znieść dopust losu, gdy nie ma się na jego powstanie żadnego wpływu (np. kłęski żywiołowe), niż gdy się wie, że można go było uniknąć, ale zmarnowano szansę.

Czy zatem grozi nam widmo konfrontacji? Uważam to za prawdopodobne, tym bardziej, że czas działa na naszą niekorzyść spokoju. Rodzi się pytanie: kto z kim, przeciw komu, kto pierwszy? Sądzę, uwzględniając aktualną specyfikę, że ewentualne niepokoje społeczne byłyby specyficzne. To znaczy — widzę to mniej więcej tak: każdy z każdym, każdy przeciw każdemu i wszyscy jednocześnie. Podziały między ludźmi wydają się być coraz mniej widoczne — i nie dlatego, że nagle staliśmy się pluralistami (jakby to sobie niektórzy życzyli), ale dlatego, że nasze oglądanie się na innych w celu znalezienia pomocy coraz bardziej przypomina błędzenie we mgle. Ten nie pomoże, bo sam tego potrzebuje. ów owszem chciałby, tylko mu zdrowie nie pozwala, następny ruga, bo są przecież ważniejsze sprawy...

Do czego zmierzam? Wbrew pozorom, nie pozuję wcale na skrajnego pesymistę. Oczywiście, wszystko jest możliwe. Rzecz w tym, by na błędach się uczyć, a nie powtarzać je w nieskończoność. Skoro, jak pisałem, przedstawiamy już wierzyć w samych siebie? Wiara taka i dostrzeganie własnych interesów to, jak sądzę, pierwszy krok w kierunku zrozumienia oczywistego faktu, iż to właśnie my, poszczególne jednostki państwa stanowimy jego dobro najwyższe, o którym tyle się mówi i pisze. Zacząć od siebie i skończyć na ogóle — to według mnie, właściwa kolejność.

Mariusz Gadomski
Lublin

OSWOIM pierwszym zetknięciu się z Kazimierzem nad Wisłą, Maria Kuncewiczowa tak pisze w „Fantomach”:

„Zjawiłam się tam w roku 1927 za sprawą męża, urodzonego w Jakubówce pod Lublinem, wychowanego i zamilowanego w Lubelszczyźnie. [...] Do Kazimierza długo nie chciałam jechać. Widywałam stare sztychy, gdzie wyobrażony był rynek kazimierski okolony szczątkami renesansu, zasnuty nawozem koni chłopskich, pstry od fur i sukman, od chałatów, kóz, świń, gęsi i pejsów. Lubiałam takie sztychy, nie lubiałam takiego życia”.

Jerzy Kuncewicz znał Kazimierz od wczesnego dzieciństwa. Już na samym początku tego stulecia przyjeżdżał tutaj z matką i rodzeństwem na letnisko. Zatrzymywali się w jednym z pensjonatów na Czerniawach. Od dziecka związany był ściśle z wsią, z ziemią, z przyrodą.

Urodził się 31 lipca 1893 r. w majątku ojca, leżącym tuż pod ówczesnym Lublinem, w obrębie terenów zwanych Rurami Jezueickimi. Dzisiaj to prawie centrum miasta; Jakubówka, gdyby nadal istniała, graniczyłaby z gmachami Politechniki Lubelskiej...

Ojciec, zbiedniały po powstaniu styczniowym, kiedy na domiar złego spłonął las w Jakubówce przynoszący taki dochód, musiał majątek sprzedać, podjął pracę inspektora plantacji buraków w Strzyżowie. Matka pozostała z dziećmi w Lublinie i zaczęła pracować jako nauczycielka. Dopiero po pewnym czasie została dyrektorką Seminarium Nauczycielskiego w Zamościu.

Po ojcu wziął Jerzy Kuncewicz zamilowanie do ziemi, po matce, Wyszynskiej, pochodzącej ze znanej lubelskiej rodziny prawniczej — do prawa. Miał później w swoim życiu doskonale godzić te dwa zamilowania. Został adwokatem i z tego czerpał środki na utrzymanie rodziny, ale swoją wiedzę prawniczą służył zarazem sprawom polskiego ruchu ludowego.

Kuncewiczowie mieszkali na Lubelszczyźnie, ale ich ród wywodził się z Białej Rusi. Mieli niespokojnego ducha, nosiło ich po świecie. Opowiadał mi kiedyś Jerzy Kuncewicz, że jeden z jego krewnych, zesłany za udział w powstaniu styczniowym na Sybir, przedostał się na kontynent północnoamerykański, na Alaskę, a następnie walczył, w randze pułkownika, w armii Stanów Zjednoczonych podczas wojny z Meksykiem.

Lubił też pan Jerzy wspominać a arcybiskupie witebsko-smoleńskim, Józefacie Kuncewiczu — choć zaraz dodawał lojalnie, że to nie był żaden krewniak lubelskich Kuncewiczów — pierwszym unie, ukamienowanym za wiarę, który został pod koniec ubiegłego wieku kanonizowany... „Już same tylko te, słyszane w domu od wczesnego dzieciństwa, opowieści o owych niezwykłych, »rodzinnych« i »nierodzinnych« Kuncewiczach musiały mieć wpływ na kształtowanie się mojego trochę romantycznego spojrzenia na świat” — mówił Jerzy Kuncewicz. „No, ale — dodawał — z drugiej strony, rolnicze zajęcie ojca i prawnicze tradycje »po kądzieli«, skłaniały mnie zaraz do patrzenia na świat w sposób realistyczny”.

Taki sposób patrzenia na otaczającą rzeczywistość pozostał mu na całe życie. Kresowa szlachectwość przenikała się u Kuncewicza z chłopskim realizmem, artystyczna natura sąsiadowała z adwokacką rzeczywistością, sarmacka wylewność z umiejętnością dobrego pilnowania spraw majątkowych.

Kiedy rodzina popadła w tarapaty finansowe,

dziesięciolecie Jerzy Kuncewicz został najpierw oddany na wychowanie ciotce Aleksandrowiczowej, żonie pisarza hipotecznego w Hrubieszowie. Tam zaczął edukację w pierwszej klasie miejscowego progimnazjum.

Długo w Hrubieszowie nie zabawił. Sprowadzono go z powrotem do Lublina i oddano do słynnej już wówczas, handlowej szkoły, założonej przez Vetterów, przy ul. Bernardyńskiej. Zdążył jeszcze wziąć udział w lubelskim strajku szkolnym w 1905 r. Kiedy powstało gimnazjum im. Stanisława Staszica, został jednym z jego uczniów...

Wstąpił do tajnego kółka Młodzieży Narodowej. Do organizacji „petowej”, w której został wkrótce starszym koła, należał m.in. jego kolega, a następnie także współpracownik w organizowaniu kół ruchu ludowego na Lubelszczyźnie — znany później w Lublinie działacz PTTK — Mikołaj Pajdowski. „Petowcy” wydawali w szkole własne piśmko odbijane na szapirografie, kolportowali także ulotki i pisma niepodległościowe. W 1910 r. wraz z jednym z kolegów, Lilienfeldem, wyjechał jako delegat lubelskiej młodzieży szkolnej na Zjazd Grunwaldzki w Krakowie. Oczywiście — przechodząc po drodze nielegalnie granicę pomiędzy zaborem rosyjskim i austriackim.

Kiedy nadchodziły wakacje, wraz z Mikołajem Pajdowskim i inżynierem Wójcickim, krążyli po lubelskich wsiach, prowadząc agitację patriotyczno-niepodległościową. Bazę wypadową do tych podróży znaleźli sobie w Urzędowie, w domu rodzinnym Mikołaja Pajdowskiego. Koła, które wówczas zakładali, miały stać się w przyszłości ogniskami rozwoju Polskiego Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie”.

W 1910 czy też 1911 r. Jerzy Kuncewicz zadebiutował jako autor utworów literackich i artykułów publicystycznych na łamach lubelskiej prasy, podpisując te pierwsze plody swojego pióra kryptonimem „K-wicz”.

Zadenuncjowany przez pewnego młodego lubelskiego poetę, którego nazwiska nie chciał mi nigdy zdradzić, przed władzami carskimi, jako niebezpieczny działacz polityczny, musiał Kuncewicz uchodzić za

granicę. Znalazł się w Liège w Belgii i tam zapisał się na wydział fizyko-chemiczny miejscowego uniwersytetu.

„Matka przysyłała mi z Lublina każdego miesiąca 25 rubli — opowiadał. — To było sześćdziesiąt sześć franków belgijskich i wystarczało na skromne życie. Całkiem niezły obiad w studenckiej garkuchni kosztował 60 centimów. Zresztą, w czasach letnich wakacji pracowałem dorywczo w kopalni i to mi pomagało później podratować budżet”.

W Liège była wówczas spora studencka kolonia polska, licząca kilkaset osób. Kształcili się tam m.in. późniejsi polscy generałowie: Młot-Fijałkowski, Łuczynski, Rudolf Dreszer i jego brat Gustaw Orlicz-Dreszer. Działały organizacje — „Zjednoczenie”, „Promień” oraz „Strzelec”. W „Strzelcu”, do którego Kuncewicz zaraz wstąpił, było około trzystu osób — głównie mężczyźni, ale także i kobiety. Właśnie na którymś z tych studencko-„strzeleckich” zebrań zobaczył Jerzy Kuncewicz po raz pierwszy przybyłego właśnie do Liège przyszłego Komendanta, Józefa Piłsudskiego, który wygłaszał odczyt na temat niepodległości oraz przyszłego państwa polskiego.

Przyjeżdżali do Liège różni ludzie. Kiedyś na zebraniu studenckim poznał się Kuncewicz z dość niepozornym, młodo wyglądającym człowiekiem, bawiącym tutaj przejazdem z Paryża. Poszli razem na skromną kolację. „Bronsztajn jestem” — przedstawił się mężczyzna. Młodemu studentowi nic to nazwisko

WOKÓŁ

Miroslaw Derecki

nie mówiło. „Kuncewicz jestem” — odparł, ściskając podaną dłoń. To było jego jedyne, nieświadome spotkanie z... Lwem Trockim.

Wybuchła pierwsza wojna światowa,

i Niemcy, którzy wkroczyli wkrótce do Belgii, uznali Kuncewicza — jako poddanego rosyjskiego — za dywersanta, kiedy zgłosił się do nich, wyrażając chęć wyjechania do Krakowa w celu wstąpienia do Legionów. Siedział do wiosny 1916 r. w obozie jenieckim w Akwizgranie. Wyszedł na wolność dzięki... interwencji szefa austriackiej policji wojskowej w Lublinie, którego żona była z domu Kuncewiczówna i do której zdołała jakoś dotrzeć matka.

Pod strażą dwóch uzbrojonych żołnierzy został „ciupasem” dostawiony z Akwizgranu prosto do Lublina. Przybył tu 13 kwietnia 1916 r.

W Lublinie Jerzy Kuncewicz rozpoczął karierę... nauczycielską. Dyrektor ówczesnej Szkoły Realnej przy ul. Ogrodowej — późniejszego Gimnazjum im. Jana Zamoyskiego — zaangażował go jako wykładowcę fizyki i chemii.

Przed wszystkim jednak objawił się Jerzemu Kuncewiczowi jego rodzinny Lublin jako silny ośrodek myśli niepodległościowej, pełen żołnierzy z orłami na czapkach. Pełno tu było różnych urzędów i instytucji niepodległościowych, na ulicach i placach odbywały się wiece.

Oratorskie zdolności Kuncewicza zostały szczególnie docenione przez tłumy w dniu, w którym, przemawiając z balkonu jednej z kamienic przy ulicy Królewskiej, zdołał... przebić się swoim stentorowym głosem poprzez dźwięki marsza granego przez wojskową austriacką orkiestrę, postawioną w pobliżu specjalnie w celu zagłuszenia mówców niepodległościowych. „Byłem młody, głos miałem silny, więc w ostatecznym rozrachunku to ja zagłuszyłem orkiestrę” — opowiadał z satysfakcją Jerzy Kuncewicz. „Chociaż — dodawał, aby rzeczy uściślić — pod koniec przemówienia krew mi się rzuciła do gardła”.

W tym okresie Jerzy Kuncewicz poświęcił się prawie w całości sprawie ruchu ludowego i budowaniu podstaw stronnictwa ludowego na terenie Lubelszczyzny. Uczestniczył w zebraniu organizacyjnym stronnictwa, które później przyjęło nazwę PSL „Wyzwolenie”.

W Lublinie wychodziło pismo „Polska Ludowa”, którego redaktorem naczelnym był Aleksander Bogusławski, dziennikarz warszawski oraz działacz ludowy. Do zespołu redakcyjnego należeli m.in. Maria Dąbrowska, Jadwiga Marcinkowska i Zygmunt Różycki. Kuncewicz zaczął zamieszczać artykuły w „Polsce Ludowej”, a nawet przez pewien czas, po wyjeździe Bogusławskiego do Warszawy, stał na czele tego pisma.

Niektóre opowieści Jerzego Kuncewicza o lubelskich wydarzeniach i jego osobistych doświadczeniach z 1916 r. w Lublinie brzmią fantastycznie — wręcz niewiarygodnie. Spotkał się — jak twierdził — z Józefem Piłsudskim na jego zaproszenie, w hotelu „Jannina”, aby wyrazić swój pogląd na temat tajnej organizacji grupującej działaczy „z najwyższego szczebla” Kuncewicz miał odmówić wejścia w skład owej organizacji, ściągając na siebie gniew Piłsudskiego, który nazwał go warcholą, gdy ten w rozmowie podjął sprawę równości oraz prawa weta...

„Punkt zasadniczy [statutu organizacji — przyp. M.D.] — pisał Jerzy Kuncewicz w swej książce „Wyspy pamięci” (Warszawa 1985) — mówił, że członkowie tej organizacji stanowią istotną władzę polityczną i wojskową całego ruchu niepodległościowego we wszystkich formach. Członkowie są równi w prawach i obowiąz-

kach. Zasadnicze decyzje wymagają pełnej zgody. I punkt ostatni: jeżeli uchwała członków organizacji spotkałaby się ze sprzeciwem jej przewodniczącego, to tym samym jest nieważna. I tu, poza statutem, uwaga wyjaśniająca — przewodniczącym jest Józef Piłsudski”.

We wstępie do „Wysp pamięci” Jerzy Zakrzewski stwierdza, iż „wielka szkoda, że autor nie ujął szerzej problemu owej organizacji, o której tam wspomina. Czyżby chodziło tu o Konwent będący tajnym ośrodkiem dyspozycji politycznej Józefa Piłsudskiego?”.

W połowie 1918 r.

Jerzy Kuncewicz opuścił Lublin, przenosząc się do Warszawy, gdzie zaproponowano mu stanowisko naczelnika Wydziału Opieki nad Dziećmi i Młodzieżą w późniejszym Ministerstwie Opieki Społecznej. Wstąpił też na Wydział Prawa Uniwersytetu Warszawskiego.

Studiował dość długo, bo najpierw przerwała te studia wojna polsko-bolszewicka, którą spędził na koniu, w szeregach Pułku Ułanów Krechowieckich. A po powrocie z wojny — praca zarobkowa w Ministerstwie Opieki Społecznej, dodatkowe studia socjologiczne, działalność w szeregach PSL „Wyzwolenie”, a także działalność na niwie publicystycznej i nawet literackiej, wciąż odsuwały w czasie chwilę uzyskania patentu prawnika. Trzeba też było poświęcić sporo czasu własnemu życiu rodzinnemu: w 1921 r. odbył się ślub Jerzego Kuncewicza z młodą śpiewaczką a przy-

skiego, Aleksandra Bogusławskiego, Brunona Gruszkę, mecenasa Stefana Urbanowicza i innych, których nie pamiętam. W Związku Literatów na Brackiej gończyły mnie echa batalii filozoficzno-socjologicznych, jakie mój mąż podobno toczył w »Ziemiańskiej« i w kuluarach sejmowych”.

Ile osób wie, że to właśnie Jerzy Kuncewicz wprowadził swoją młodą żonę do... »Związku Literatów, którego członkiem był już wcześniej? Sam w kawalerskiej walizce przechowywał poemat historiozoficzny, kilka patriotycznych liryków i parę powieści drukowanych w prasie”.

Ile osób wie, że Jerzy Kuncewicz zajmował się, już w dużo, dużo starszym wieku, także twórczością dramatopisarską; że w 1973 r. nakładem londyńskiej Oficyny Poetów i Malarzy wyszedł tom jego autorstwa: „Biały wróbel i trzy inne sztuki”? Ze w rok później ta sama londyńska oficyna wydała tom myśli i aforyzmów filozoficznych Jerzego Kuncewicza — „Nieskończoność a Rzeczywistość”?

W schyłkowych latach życia Marii i Jerzego Kuncewiczów, po powrocie do Polski i osiedleniu się na stałe w Kazimierzu, rosnąca coraz bardziej sława autorki „Cudzoziemki”, „Leśnika”, „Fantomów”, „Natury”, uwielbienie jakim cieszyło się jej piarstwo wśród czytelników, szacunek, jakim darzyła ją krytyka literacka, publicity, jaką stwarzała jej (i jej twórczości) dziennikarze, sprawiały, że osoba Jerzego Kuncewicza dla wielu była tylko jakby dopełnieniem obra-

„KUNCEWICZÓWKI”

szą wybitną polską pisarką. Marią Szczepańską...

W 1930 r. wychodzi nakładem firmy Jakuba Mortkowicza pierwsza książka Jerzego Kuncewicza — „Przebudowa. Rzecz o życiu i ustroju Polski”. W 1932 r. Kuncewicz składa na ręce Rady Naczelnej Stronnictwa Ludowego opracowany przez siebie projekt programu zjednoczonego ruchu ludowego. W latach 1933—1936 wyjeżdża do Włoch, ZSRR i USA, by śledzić tamtejsze procesy w dziedzinie gospodarki, stosunków społecznych i kulturalnych. W 1939 r. ukazuje się kolejna książka Jerzego Kuncewicza — „Republika Globu”. Wykłada w niej autor koncepcję „humanizmu gospodarczego”.

Po latach

w odredakcyjnej nocy do wydanej w 1980 r. przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą książki: „Pięćdziesiąt lat faktów i myśli” (będącej wyborem dzieł społeczno-politycznych, socjologicznych, przemysła filozoficznych Kuncewicza) Leonard Sobierajski napisze: „Kuncewicz był jednym z tych, którzy parli do połączenia ruchu ludowego, co stało się na początku lat trzydziestych. [...] Jako człowiek wszechstronnie wykształcony i władający kilkoma językami — należał [...] do trustu mózgow ówczesnych władz Stronnictwa Ludowego. Ale zawsze, jak kot, chodził własnymi drogami”.

Refleksja Marii Kuncewiczowej na temat tamtych lat, pomieszczona w „Fantomach”:

„W mojej świadomości Jerzy nierzmiennie pozostawał Działaczem. [...] Przez ścianę dochodził mnie soczysty baryton Witosa, raz prezydowałam przy stole, za którym premier bez krawata i w butach z cholewami odsuwał z niesmakiem sardynki i wino, często spotykałam w przedpokoju przywódców ludowych, Macieja Rataja, Jana Woźnickiego, Nieckę, Niedbal-

zu życia i drogi twórczej wybitnej pisarki. Jakby nie dostrzegano pełnej, twórczej sylwetki Jerzego Kuncewicza.

Jerzy Kuncewicz był w swoim życiu działaczem niepodległościowym, ludowcem, adwokatem, pisarzem, działaczem politycznym, publicystą; w latach wojny pracował najpierw we Francji — w Wydziale Łączności z Krajem przy Ministerstwie Informacji i Propagandy rządu kierowanego przez Władysława Sikorskiego, potem w Anglii — w Biurze Traktatów Pokojowych, jednej z placówek Rządu Rzeczypospolitej; po wyjeździe Kuncewiczów do Stanów Zjednoczonych był nawet... właścicielem prywatnego przedsiębiorstwa budowlanego.

Profesor Jan Szczepański napisał kiedyś o tej niezwykłej osobowości:

„Nie jest on filozofem profesjonalnym, tak jak nie jest ani profesjonalnym politykiem, ani profesjonalnym ideologiem czy literatem. Pod tym względem należy do zanikającej kategorii polskich intelektualistów, którzy na marginesie wykonywanego zawodu zajmowali się pracą naukową czy literacką. Kuncewicz pisał swoje książki polityczne, wykonując zawód adwokata, inne — pracując jako urzędnik, robotnik czy przedsiębiorca budowlany. Nadaje to jego piarstwu ten smak bezpośredniości i wyzwała z zawodowych konwencji uprawiania działalności intelektualnej. [...] Idee (jego) »humanizmu gospodarczego« nazywa się dzisiaj próbami tworzenia nowego ładu gospodarczego; hasło »republiki globu« nazywa się dzisiaj teorią »wzajemnych zależności« (interdependence). Szukanie w wyzwoleniu człowieka sił przebudowy — wraca po zawodach wywołanych technokracją”.

(Koniec odcinka 3. — dokończenie nastąpi)

LISTY

O nazewnictwie ulic

Gorąco popieram propozycję podaną w liście p. Szczepana D. a zamieszczoną w 45. numerze waszego pisma odnośnie zmiany nazw niektórych ulic w Lublinie.

J. Marchlewski, F. Dzierżyński i im podobni — to ludzie, którzy dążyli do przekształcenia nowo powstałego, niepodległego państwa polskiego w radziecką republikę (bez Poznańskiego, Pomorskiego i Śląska), gdyż nie chcieli zrazić — przez przyłączenie tych ziem do Polski — robotników niemieckich do rewolucji światowej. Nie chcieli również, by do Polski należała Białostoczczyzna, ziemia chełmska, zamojska i przemyska.

Opierając się na analogiach historycznych, można by powiedzieć, że gdyby spełniły się plany tych towarzyszy, to w większości inteligencja, ziemiaństwo i duchowieństwo znalazłoby się w miejscach kaźni takich jak Kuropaty (o których pisała prasa radziecka) lub w lagrach na Kołymie czy w Workucie. Natomiast dla chłopów polskich Stalin zorganizowałby głód, jak miało to miejsce na Ukrainie, gdzie zmarło z tego powodu kilka milionów ludzi, a pozostałych tow. Wissarionowicz z pewnością wysiedliłby do Kazachstanu, jak zrobił to z Polakami w latach trzydziestych z rejonów „Marchlewsczyzna” i „Dzierżyńsczyzna” (art. zamieszczony w „Sztandarze Ludu” z dn. 1.09.89), nie wspominając już o martyrologii Polaków zamieszkałych za Bugiem po 17.09.1939 r.

Jestem przekonany, że realizacja idei Marchlewskiego i Dzierżyńskiego doprowadziłaby do tego, że na obecnych ziemiach polskich — Polacy byłiby mniejszością, jak ma to miejsce z ludnością tubylczą w republikach azjatyckich ZSRR, a promieni, którzy nadawali nazwy ulic Marchlewskiego czy Dzierżyńskiego, być może pałliby owce i kozy na stepach gdzieś w Azji Środkowej.

Ponadto Dzierżyński to taki radziecki „Himmeler” pochodzenia polskiego — kat narodów.

Natomiast nie jestem tak zdeterminowany w sprawie przywrócenia ulicy Pstrowskiego dawnej nazwy Peowiaków. Peowiaczy byli ludźmi wybitnie zasłużonymi w dziele odzyskania niepodległości w roku 1918 i już jako żołnierz WP w wywalczeniu granic Polski w pełni zasługują na to, żeby jedna z ulic nosiła ich imię. Pstrowskiego — jako ideowy ZMP-owiec — próbowałem naśladować w ramach brzdęków młodzieżowych. Pracując ponad swoje możliwości i siły, nabrałem się początkowo przewlekłej choroby, która negatywnie wpłynęła na moją pracę zawodową, a następnie, rozwijając się w dalszych latach, zmusiła mnie do przejścia na rentę inwalidzką w 52 roku życia.

Niemniej zaangażowanie i pewna ideowość w pracy (oczywiście nie w stylu Pstrowskiego), są niezbędne do zapewnienia dobrobytu społeczeństwa. Gospodarka rynkowa, nawet dobrze zorganizowana, bez wyteżonej pracy nie zbliży nas do poziomu państw zachodnich w zakresie ekonomicznym.

Janusz Janicki
Lublin

W sprawie profilu „Relacji”

Warto byłoby rozważyć możliwość większej niż do tej pory publikacji tekstów tzw. kontrowersyjnych, wywołujących szeroki rezonans wśród czytelników i prowokujących do różnego rodzaju polemik.

Prezentowana w „Relacjach” dyskusja nad projektem ustawy zakazującej przerywania ciąży (w której i ja brałem skromny udział), uświadomiła mi, jak duże jest zapotrzebowanie na tego rodzaju dyskusje. Wprawdzie nie wszyscy jeszcze rozumieją, na czym takie dyskusowanie polega, nie mniej szeroka publikacja takich tekstów byłaby właściwą lekcją poglądową.

Mariusz Gadomski
Lublin

„Nieznani sprawcy”

W nocy z 17 na 18 I 1990 r. nieznani sprawcy zdemolowali samochód oraz gabloty informacyjne Konfederacji Polski Niepodległej. Co do zamiarów wandalów nie można mieć złudzeń. Z samochodu nie nie zginęło, natomiast zostały wybite cztery szyby, wyrwane drzwi i kierownica, rozbite lusterka. Jednocześnie z gablot znajdujących się przed biurem KNP zerwano i rozrzucono zdjęcia i informacje.

Jest to już trzecia napad na mienie naszej organizacji. Pierwszą była kradzież i zniszczenie samochodu. Drugą próba podpalenia lokalu KPN przy ul. Rybnej 13.

Czyżby sugerowano, że rozwiązanie ORMO, po którym lokal przejęła KPN, nie służy utrzymaniu porządku publicznego?

Biuro Konfederacji Polski Niepodległej
Obszar IV Lublin



Wnętrze „Kuncewiczówki”.

Fot. Waldemar Stępień

RYNEK ŻYWNOCİ

Dokończenie ze str. 2—3

notruste. Część rezygnuje w ogóle. Serwy żółte rozchodzą się w normalnym trybie. Ogólnie jednak widać mniejsze zainteresowanie naszymi wyrobami, zwłaszcza w przypadku przetworów. Jedynie przed niedzielą i większymi świętami występują wahania zwykłe w sprzedaży. Wiadomo — wybieki.

Jeżeli przyjrzelibyśmy się rodzinnemu budżetowi, to z łatwością dostrzeżemy, że ewentualne oszczędności, jakie możemy tam jeszcze poczynić, dotyczą sfery kulinarnej naszego życia.

Zbigniew Tusiński, zastępca dyrektora ds. handlu lubelskiego oddziału Przedsiębiorstwa Hurtu Spożywczego, sięga do liczb, które mają posłużyć za najlepszy komentarz do obecnej sytuacji rynkowej:

— W grudniu ub.r. sprzedaliśmy kaszę jęczmienną tylko w stosunku 23 proc. do wcześniejszych miesięcy. Jest to produkt, który najbardziej „spadł” w sprzedaży. Cukier natomiast spada ciągle. W grudniu było sprzedane zaledwie 40 proc. tego, co w poprzednim okresie, zaś w całym 1989 roku sprzedaliśmy go 86 proc. w stosunku do roku 1988. Podobnie, co niektórzy potraktują z niedowierzaniem, zmalał popyt na alkohol. Pod koniec 1989 roku było to zaledwie 75 proc., w całym zaś roku 1989 — 94 proc. sprzedaży z 1988. Dalej na przykład wino owocowe — 30 proc., słodczyce — 95 proc., wyroby cukiernicze — 70 proc. Jedynym produktem, gdzie nie występowały dotychczas różnice w spożyciu, były maki. Mówi się jednak o podwyżkach cen, i tu pewnie dotychczasowy popyt nie potrwa długo.

Marek Podgajny

RYNEK KSIĄŻKI

Dokończenie ze str. 3

dził, że jeżeli na razie uda się wydać 8—10 książek — będzie wspaniale. Wydawnictwo Lubelskie uważa plan roczny za bezsensowny, przygotowuje jedynie plany kwartalne. O połowę spadło zainteresowanie handlu konkretnymi tytułami. Spada liczba zamówień (z kilku tysięcy do kilkuset zaledwie egzemplarzy). KAW zrezygnowała z wydania wyboru poezji Jana Kochanowskiego, książki Limanowskiego „Patriotyzm i socjalizm”, Zawady „Wariacji na linotyp” czy Wójcikowskiego „Wojennych losów dzieł Matejki”. Na ten ostatni tytuł wydawnictwo otrzymało zamówienia na 3 tysiące egzemplarzy, podczas gdy nakład miał wynieść 20 tysięcy.

Dramatyczne chwile przyzywają również drukarnie. Zdaniem dyr. Filipka, niedługo nie będzie co drukować na tzw. „dzielówce”. Wycofano już z druku 10 pozycji książkowych i trzy czasopisma. Na zabezpieczenie „dzielówki” potrzeba teraz aż 25 mld zł. podczas gdy jeszcze niedawno wystarczało 2—3 mld złotych. Do końca lutego w „dzielówce” papieru jeszcze wystarczy. Ale co dalej?

Pomysłów na wyjście z impasu jest kilka.

I ratunek — hity

Czyli książki, które na pewno się sprzedadzą i jeszcze zarobią na inne. Lubelska KAW planuje więc wydanie w najbliższym czasie z ostatnich zapasów papieru: Pitti Grilly „18 karatów dziewczęta”, „Kokaina”, „II wojna światowa z materiałów Biura Informacji Armii USA”, Zarzyckiej „Pannę Irkę”, Marczyńskiego „Gaz 303” i Niernackiego „Liście dębu”. Podobny pomysł na hity ma również Wydawnictwo Lubelskie lecz tam jest on dopiero w początkowej fazie realizacji.

Nowe twarde reguły rynkowe najczęściej doświadczą współczesną literaturę piękną, naukową i poezję. Można by rzec: porzućcie wszelką nadzieję debiutantów i poetów. W najbliższym czasie na pewno nie ukaże się żaden debiutancki tomik. W grupie 18. pozycji, zaplanowanych do wydania, dominują raczej klasyki: Makuszyński, Kuncewiczowa, Niziurski, a zatem wypróbowane „firmy”.

II ratunek — oszczędzanie

Na pierwszy rzut — redukcja zatrudnienia. Wydawnictwo Lubelskie planuje również procentowe zmniejszenie zysku, wynoszącego do tej pory 10 proc. W tym Wydawnictwie myśli się ekonomicznie: minimalny zysk, mały nakład, niska cena, szybka sprzedaż. Zaproponowano również Domowi Książki, domom kultury, PUPiK, KPMiK nawiązanie bezpośredniej współpracy, z pominięciem składnicy księgarskiej (4 proc. marży). Cenę książki podwyższa również marża Domów Książki, sięgająca niekiedy połowy ceny detalicznej. W walce o tanią książkę Wydawnictwo pragnie zrezygnować, choćby częściowo, i z tego pośrednika. Od 1 lutego w swoim budynku Wydawnictwo uruchamia sprzedaż książek po cenie zbytu.

Czy to przyciągnie nabywców, trudno orzec. W każdym razie jednak, jeżeli starania producentów książek się powiedzą, stać nas będzie na kupienie dobrej, taniej książki. Gdyż — zdaniem dyrektora Wydawnictwa Lubelskiego, Ireneusza Cabana — książka przy nakładzie 5—10 tysięcy egzemplarzy za 20 tysięcy zł jest nie do przyjęcia.

Te wszystkie problemy dotyczą w takim samym stopniu wydawnictw „nielegalnych”.

Violetta Krasnowska

INFORMATOR KULTURALNY

TEATRY

W LUBLINIE

Teatr im. J. Osterwy: 1—4.02; 6—7.02 godz. 18: „Lwów”. Scenografia i reżyseria Andrzeja Rozhina.

Teatr Lalki i Aktora: 1—2.02 godz. 10, 12; 3—4.02 godz. 12; 5—7.02 godz. 10, 12: „Słowik”, baśń H. Ch. Andersena; reż. Tomasz Jaworski.

Teatr Muzyczny: 1.02, 3—4.02 godz. 19: „Baron cygański” J. Straussa.

MUZYKA

W LUBLINIE

Filharmonia — 4.02 godz. 18 — koncert Mieczysława Szlezera (skrzypce) i Danuty Mroczek-Szlezera (fortepian). W programie: utwory J. S. Bacha, I. Strawińskiego, F. Liszta, F. Szuberta, M. Ravela.

WYSTAWY

W LUBLINIE

Muzeum J. Czechowicza — wystawa Małgorzaty Żurakowskiej: Mezzotinta.

Zamek Lubelski — wystawa pt. „Hej kołoda, kołoda...” (zimowe zwyczaje ludowe).

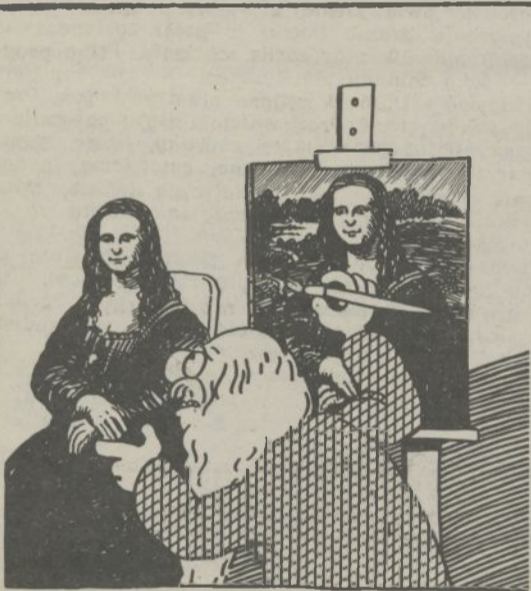
Galeria NOVA (ul. Grodzka 5) — wystawa prac Jerzego Kostki.

Dworek Wincentego Pola — wystawa pt. „Wincenty Pol i Ludwik Zejszner — pierwsi profesorowie nauk o Ziemi Uniwersytetu Jagiellońskiego”.

Filharmonia (foyer) — wystawa malarstwa Henryka Długosza.

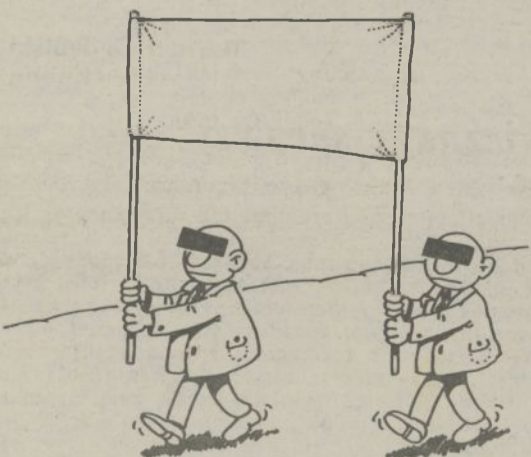
W ZAMOŚCIU

BWA — 6.02 godz. 17 — wernisaż wystawy malarstwa Ryszarda Kalamasza.



SADURSKI

- JEŚLI NIE ZNIKNE Z PANI TWARZY TEN IDIOTYCZNY UŚMIESEK, TO PANIA TAK NAMALUJĘ!!



SADURSKI

Rysunki Szczepana Sadurskiego z książki „Kwiatki polskie” (KAW, Lublin 1989 r.)

OGŁOSZENIA DROBNE

KUPNO

BŁAM — latki, 260-34.

33336/GPR

STAROCIE: obrazy, monety, srebro, zegarki, meble, biżuteria, inne. Lublin, tel. 55-13-21.

295/G

LOKALE

POSZUKUJĘ lokalu 3x3 (ewentualnie piwnica). Motycz, tel. 71-60-01, prosić wewn. 37.

203/G-2

POŚREDNICTWO 77-86-12.

32859/G-4

RÓŻNE

ANTENY telewizyjne: wyrób, sprzedaż, instalacje ekspresowe. Poczta — pawilon. 154/G-10

KUPNO, SPRZEDAŻ, ZAMIANA nieruchomości i mieszkań. „Miro”, tel. 448-72.

33030/G-3

SPRZEDAŻ

NOWY FSO, Lublin, tel. 451-16.

500/G

PAMER Przedsiębiorstwo Wielobranżowe, Bystrzyca Nowa 119, gmina 23-107 Strzyżewice, tel. 48, posiada w sprzedaży stal zbrojeniową średnica 10, średnica 14 oraz ceownik 65 po cenach konkurencyjnych. Przyjmujemy zamówienia na stal dwuteową NP 12, NP 14, inne oraz rury. Świadczymy usługi transportowe.

437/G

PRZYJMUJEMY TANIEJ - ZAMIESZCZAMY SZYBCIEJ

Od 18 bm. istnieje w naszej redakcji punkt przyjmowania ogłoszeń. Informujemy przy tym, że ogłoszenia są u nas tańsze niż w prasie codziennej:

- ramkowe o 1 tysiąc złotych za centymetr kwadratowy;
- nekrologi zlecane przez instytucje o 1 tysiąc za centymetr;
- nekrologi prywatne o 500 zł za centymetr;

● ogłoszenia drobne (handel, usługi, sprzedaż, praca, nauka i in.) — tańsze są o 1 tyśiąc zł za słowo.

Gwarantujemy krótkie, niemal ekspresowe terminy realizacji.

Ogłoszenia przyjmujemy w godzinach 9—15 w siedzibie redakcji (Lublin, ul. Marii Curie-Skłodowskiej 2, tel. 215-57 i 205-34).

CZWARTEK

1 LUTEGO

PROGRAM I

9.00 Dt — wiadomości
9.10 Domowe przedszkole
9.35 Teleferie TDC — Kulig
10.15 Kino Teleferii: „Paziowie króla Zygmunta” (3) — serial TVP
10.45 „Policjanci z Miami” (14) — „Złoty trójkąt” cz. 2
11.30 Domator
12.00 Studio sport: Mistrzostwa Europy w jeździe figurowej na lodzie
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Teleferie najmłodszych
16.45 Kino Teleferii: „Przygrywka” (4) — serial TVP
17.15 Teleexpress
17.30 Patrol — wojskowy program public.
17.55 „Poza rok 2000” — serial dok. prod. australijskiej
18.25 Magazyn katolicki
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Interpelacje (1)
19.30 Wiadomości
20.05 „Policjanci z Miami” (14) — „Złoty trójkąt” cz. 2 — serial krym. prod. USA
20.55 Interpelacje (2)
21.35 Sport: Mistrzostwa Europy w jeździe figurowej na lodzie
22.45 Dt — echa dnia
23.00 Pegaz

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Psychostudio
18.00 Program lokalny
18.30 Program na zyczenie
19.00 Studio sport: Puchar Europy w koszykówce mężczyzn (Lech Poznań — Jugoplastika Split)
20.30 Władcy i teatr
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Kino studyjne „Dwójki”: „Ul” — film fab. prod. hiszp.
23.30 Komentarz dnia

PIĄTEK

2 LUTEGO

PROGRAM I

9.00 Dt — wiadomości
9.10 Domowe przedszkole
9.35 Teleferie TDC — Kulig
10.15 Kino Teleferii: „Paziowie króla Zygmunta” (4) — serial TVP
10.45 „Dzieciący ogród” cz. 2 — film fab. prod. czechosł.
11.15 Domator
11.45 Studio sport: Mistrzostwa Europy w jeździe figurowej na lodzie
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Teleferie najmłodszych
16.45 Kino Teleferii: „Przygrywka” (5) — serial TVP
17.15 Teleexpress
17.30 Raport
18.00 „Tryptyk biecki” cz. I — „Wilhelm” — film dok.
18.25 Rzeczpospolita samorządna
18.45 Weekend w „Jedynce”
19.00 Dobranoc
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.30 Wiadomości
20.05 Zwierciadło czasu: „Sługa” — film prod. ZSRR
22.20 Sport: Mistrzostwa Europy w jeździe figurowej na lodzie
23.20 Spór o jutro — otwarte studio
0.20 Dt — echa dnia
0.40 Spór o jutro — otwarte studio

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 O czym się mówi
18.50 Program rozrywkowy
19.30 Karol Stryja dyryguje — IX Symfonia Beethovena — koncert jubileuszowy

20.50 Piątek — magazyn z Krakowa
21.30 Panorama dnia
22.00 Filmy Woody Allena: „Wspomnienie gwiazdowego pyłu”
23.25 Komentarz dnia

SOBOTA

3 LUTEGO

PROGRAM I

8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie
9.00 Kino Teleferii: „Podróż Natty Gunn” — film fab. prod. USA
10.30 Dt — wiadomości
10.45 „Azjatycka mozaika” — odc. 1 pt. „Kosmiczny taniec Sziwy” — film dok. prod. franc.
11.45 Azymut
12.15 Z Polski rodem
12.40 Telewizyjny koncert życzeń
13.10 Tryptyk z ziemi obiecanej: „Opowieść o pałacach wyjątkowych”
13.40 Telewizyjny Teatr Prozy: Roger Martin du Gard — „Jakub”
15.00 Sport: Mistrzostwa Europy w jeździe figurowej na lodzie
16.15 Być reporterem: Sylwester Braun — film dok.
16.40 Rewizja nadzwyczajna
17.15 Teleexpress
17.30 Polska walcząca 1939—1945
18.30 Butik
19.00 Dobranoc
19.10 Z kamerą wśród zwierząt
19.30 Wiadomości
20.05 „Detektyw Sadie i syn” — film krym. prod. USA
21.40 Sport
22.00 Tydzień w polityce
22.10 Dekada długów — jubileusz kabaretu „Długi”
23.15 Telegazeta i jutro w programie
23.25—1.00 Kino sensacji: „Bandyci w Mediolanie” — film prod. wł.

PROGRAM II

14.00 Bariery — problemy ludzi niepełnosprawnych
14.25 Świat o ekologii
14.55 „Okavango — klejnot Kalahari” — serial dok. prod. ang.
15.25 Spektrum
15.40 „Przygoda z Alaską” (2) — film dok. prod. RFN
16.05 Meandry architektury
16.25 Studio sport
16.55 Powitanie
17.00 Dolly Parton show
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Wielka gra — teleturniej
19.30 Rewelacja miesiąca: Giuseppe Verdi — „Luisa Miller” z Covent Garden Opera w Londynie
21.30 Panorama dnia
21.45 „Znowu w Brideshead” (5) — serial fab. prod. ang.
22.35 Rewelacja miesiąca — cz. 2
23.25—23.30 Komentarz dnia

NIEDZIELA

4 LUTEGO

PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 Kino Teleferii: „Włóczgi Północy” — film fab. prod. amerykańsko-kanadyjskiej
10.15 Dt — wiadomości
10.20 „Złoto” — odc. 8 (ostatni) pt. „Gorączka trwa” — serial dok. prod. włoskiej
11.00 Kraj za miastem
11.30 Telewizyjny koncert życzeń
12.15 Teatr dla Dzieci: „Złote wrota” — program TV czech.
13.20 „Panna dziedziczka” (38)
15.00 Sport: Mistrzostwa Europy w jeździe figurowej na lodzie
17.00 Antena
17.15 Teleexpress
17.30 Telewizyjny Teatr Rozmaitości: Aleksander Galin — „Zanna”
18.45 Muzyczna telewizja: Wideo-Top
19.00 Wieczorynka
19.30 Wiadomości
20.05 „Dekalog, dziewięć” — film fab. TP

21.10 Siedem dni: Świat
21.40 Sport
22.20 Telegazeta
22.25 Premiery po latach: „Strajk” — film dok. Andrzeja Androchowicza
23.20 Jutro w programie i Telegazeta

PROGRAM II

9.15 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)
9.50 „Dekalog, dziewięć” — film fab. TP (dla niesłyszących)
10.50 Lokalny koncert życzeń
11.15 Wojskowy program dokumentalny
11.45 Jutro poniedziałek
12.15 Powitanie
12.20 Polska Kronika Filmowa
12.30 100 pytań do...
13.10 Kino rodzinne: „Bajarz” — odc. 6 pt. „Niebój” — serial prod. ang.
13.35 Maciej Niesiołowski: Z batutą i z humorem
13.50 „Polacy” — film dok.
15.00 Podróże w czasie i przestrzeni: „Biblia a historia” (3) — serial prod. ang.
15.55 Nad Niemnem, Piną i Prypecią: W Kosowie — gawęda prof. W. Zina
16.15 Biografie: Patricia Highsmith
17.10 Studio sport
17.30 Bliżej świata
19.00 Dwa + 2 — program publicystyczny Tadeusza Kraśki
19.30 Galeria 37 milionów: Mieczysław Majewski
20.00 Studio sport
21.00 Program rozrywkowy
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wojna i pamięć” — odc. 32 (ostatni) serial fab. prod. USA
22.45 „Action” — film dok. o realizacji oświeceniowych fragmentów serialu „Wojna i pamięć”
23.15 Komentarz dnia
23.20—23.25 Akademia wiersza

PONIEDZIAŁEK

5 LUTEGO

PROGRAM I

16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Teleferie najmłodszych
16.45 Kino Teleferii: „Przygrywka” (6) — serial TP
17.15 Teleexpress
17.30 Gorące linie
17.55 Wedrówki dalekie i bliskie „Białe szaleństwo” — film dok. prod. szwajcarskiej
18.25 Szkoła mistrzów — Filip Bajon
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 W Sejmie i Senacie
19.30 Wiadomości
20.05 Teatr Telewizji: Władysław Terlecki — „Cyklop”
21.50 Sport
22.00 Kontrapunkt
22.30 Dt — echa dnia

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna — polszczyzna: H i Ch
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 „Zmagania o Polskę” (5) — „Przyjaciele i sąsiedzi” — serial dok. prod. ang.
19.30 Życie muzyczne: Gwiazda musi zapłonąć
20.00 Auto—Moto—Fan—Klub
20.30 Osądźmy sami
21.15 Rozmowy o cierpieniu
21.30 Panorama dnia
21.50 „Heimat” — „Autostrada” — serial prod. RFN
22.45 Komentarz dnia

WTOREK

6 LUTEGO

PROGRAM I

9.00 Dt — wiadomości
9.10 Domowe przedszkole

9.35 Teleferie: Kulig
10.15 Kino Teleferii: „Paziowie króla Zygmunta” (5) — serial prod. pol.
10.45 „Kir Royal — z życia reportera kroniki towarzyskiej” (2)
11.45 Domator
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Teleferie najmłodszych
17.15 Teleexpress
17.30 Spojrzenia
17.55 Klinika Zdrowego Człowieka
18.15 System
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Obok nas — „Między jesienią a wiosną” — reportaż
19.30 Wiadomości
20.15 „Kir Royal — z życia reportera kroniki towarzyskiej” (2) — „Dzień Matki” — serial obycz. prod. RFN
21.15 Sport
21.25 Listy o gospodarce
22.00 Muzyczna telewizja: „Tu sześćdziesiątka” — film dok.
22.45 Dt — echa dnia

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Klub ludzi z przeszłością
18.00 Program lokalny
18.30 Modlitwa wieczorna
18.50 997 — wydanie specjalne: „Wielka miłość”
19.30 Kolorowy zawrót głowy
20.00 Przeboje Bogusława Kaczmarskiego: „Warszawa pozdrawia Wiedeń”
21.00 W kręgu sztuki: „Wielcy fotograficy — Giampaolo Barbieri”
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio im. Karola Irzykowskiego: „O rany, nic się nie stało” — komedia prod. pol.
23.10 Komentarz dnia

ŚRODA

7 LUTEGO

PROGRAM I

9.00 Dt — wiadomości
9.10 Domowe przedszkole
9.35 Teleferie TDC: Kulig
10.15 Kino Teleferii: „Zakochany świat Disneya” — film anim. prod. USA
10.45 „Czarne ważki” — film prod. chiń.
12.25 Domator
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Teleferie najmłodszych: Teletop — wielki plebiscyt na najlepszy program telewizyjny dla dzieci w 1989
17.15 Teleexpress
17.30 Gry wojenne
17.55 Telewizyjny informator wydawniczy
18.15 Dawniej niż wczoraj
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Plus — minus
19.30 Wiadomości
20.05 „Człowiek z żelaza” — film fab. prod. pol. Reż. Andrzej Wajda
22.40 Sport
22.50 Dt — echa dnia
23.05 Doron Mazar — recital

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Zbliżenia, czyli to i owo o filmie
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Magazyn „102”
19.00 „Pokój niżej” (5) — „Pasożyty wysiadka” — serial prod. ang.
19.30 Zaczaruj mnie jeszcze raz — recital Aleksandra Nowackiego
20.00 Czarno na białym — przegląd PKF
20.40 Przegląd muzyczny
21.00 Ze wszystkich stron: „Dzwoniły im kajdany” — reportaż z Syberii
21.30 Panorama dnia
21.45 Telewizja nocą
22.40 „Wyznania hochsztaplera Feliksa Krulla” (1) — serial prod. RFN
23.40 Komentarz dnia

relacje



ADRES REDAKCJI

20-029 LUBLIN, UL. M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ 2
20-950 LUBLIN, SKR. POCZT. 231



TELEFONY

215-57 • SEKRETARIAT RED. NACZELNY
205-34 • SEKRETARZE REDAKCJI
202-91 • 208-59 • 233-88 • DZIENNIKARZE

WYDAWCA

Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”

DRUK

Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.

Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch” i urzędy pocztowe. Nr indeksu: 37409 PL ISSN 0660-8830.

AD VOCEM

LEGISLACJA

KACIŃSKIE „legis latio”, a zatem nasza „legislacja”, oznacza ustawodawstwo lub szerzej: stanowienie prawa. Ustawodawstwo znane było oczywiście już w głębokiej starożytności, a pierwszym znanym jego zabytkiem są zapisane piśmem klinowym fragmenty ustaw Urukaginy, sumeryjskiego władcy Lagaszu z połowy trzeciego tysiąclecia przed naszą erą. Kodeks Hammurabiego z XVIII wieku p.n.e. jest już zwieńczeniem bogatego ustawodawstwa państw z terenu Mezopotamii.

Ustawodawstwo odgrywało znaczną rolę w starożytnym Egipcie i w państwach greckich, ale już nie w Rzymie. W tej antycznej stolicy prawa dominowało prawo zrodzone w praktyce oraz w prawotwórczej działalności uczonych jurystów. Dzięki temu opierało się ono bardziej niż dzisiaj na myśli prawniczej, na utrwalonych dobrych obyczajach i normach etycznych, wreszcie na wszechobecnej w teorii i praktyce kulturze prawnej. I jeśli dla nas prawo jest przede wszystkim zbiorem ustaw, to dla Rzymian było ono „sztuką dobra i słuszności” — ius est ars boni et aequi. Uchwalane przez odpowiednie organa ustawy (leges) nie zajmowały wówczas czołowego miejsca w systemie prawnym.

Dopiero wiek XIX — wiek kodyfikacji i pozytywizmu prawniczego — doprowadził do rozluźnienia związków prawa z jego etycznym podłożem i przyniósł wiarę we wszechmoc ustawy. Przekonanie to zyskało ideologiczne wsparcie w powojennych ustrojach państw socjalistycznych, gdzie ustawa jest traktowana jako wyraz woli ludu pracującego.

Tę wiarę w moc dobrej na wszystko ustawy można obserwować u nas nie tylko w minionym czterdziestolecu, ale i podczas dzisiejszych debat sejmowych. W cień zeszyły natomiast tradycja i kultura prawna. I tylko niekiedy powraca antycznym echem pytanie Horacego: „Quid leges sine moribus” — Cóż znaczą ustawy, gdy brak właściwych obyczajów? Pytanie u nas nie całkiem retoryczne.

Arcus M.

KRESY — słowa kojarzące się z bezkresem, w przeciwnieństwie do niego oznaczające dalekie, ale konkretnie położone, ziemie czy też miejsca. W potocznym rozumieniu są to ziemie dawnej Rzeczypospolitej na wschód od linii wyznaczonej przez miasta Białystok, Brześć i Chełm, chociaż pewien przedwojenny, kresowy kolumnista złośliwie zauważył, iż zaczynają się one „tuż za rogatkami warszawskimi”.

Na przestrzeni stuleci pojęcie kresów wschodnich (dookreślenie nie jest przypadkowe; w okresie przedwojennym istniał Związek Obrony Kresów Zachodnich, a więc termin kresy zachodnie był również w użyciu) zmieniło się; pierwotnie należały je odnieść „do czasów przedobiorowych, gdy mieliśmy prawdziwe kresy za Dnieprem i na Dzikich Polach”.

Zadnieprze więc to kres kresów.

Z biegiem czasu pojęcie zaczyna obejmować tereny położone nieco bliżej, od wysuniętej na północ części Litwy i Białorusi, znajdujących się w obrębie granic Rzeczypospolitej, po Podole i Moldawie na południu.

Nie tylko profity (Ukraina — spichlerz żywności niegdys pół Europy, później rozwinięty przemysł cukrowniczy) każą nam myśleć z sentymentem i nostalgią o tych ziemiach. Przede wszystkim siedemset lat wspólnej historii, która łączyła Polaków, Ukraińców, Białorusinów, Litwinów, Tatarów, Żydów, Niemców, Rosjan i Ormian.

Nie zawsze — jak do niedawna widzieliśmy to w uproszczeniu koncesjonowani historycy — Polacy kojarzyli się autochtonom z klasą panów, czytając: wyzyskiwaczy. Kazimierz Wielki przyznał równe prawa nie tylko katolicyzmowi i prawosławiu — także językom polskiemu i ruskiemu w urzędach. Cywilizował te ziemie, nie dopuszczając do ich kulturowego i gospodarczego wyjąłowania po kolejnych spustoszeniach tatarskich i usunięciu miejscowej dynastii przez rodzimych (ruskich!) bojarów. Właśnie zagospodarowanie, zajęcie ziem dosłownie niczyjej jest właściwszym określeniem polityki królewskiej, niż podbój kresów, którym wówczas nie przydawano jeszcze tej nazwy.

Jagiellonowie nie chcieli być królami sumień nie tylko w Koronie, odnosiło się to do wszystkich ziem Rzeczypospolitej.

Kryzys przyszedł, kiedy państwo osiągnęło milion kilometrów kwadratowych, otrzymaliśmy nową dynastię (Wazów), nie naszczęśliwiej dla nas zapisaną, a z nią zbyt duży wpływ kontrreformacji na losy kraju, świeżo nie naszczęśliwiej awansowanych królewiat, rozregulowanie kształtujących życie polityczne mechanizmów.

To paradoksalne, ale właśnie nie-

zwykła atrakcyjność polskiej kultury miała swój udział w zaognieniu stosunków narodowościowych na kresach: spolszczanie się ruskich możnawładców powodowało, że kształtujący się dopiero w XVII wieku naród ukraiński tracił poczucie podmiotowości, czemu wściekle się przeciwstawiał. Uczciwie trzeba powiedzieć: nie bez racji. Spolszczanie się litewskich możnawładców, a później litewskiej inteligencji stworzyło istniejące do dziś urazy Litwinów w stosunku do Polaków.

Prawda bywa nieelegancka: to nie były problemy Polaków, lecz Litwinów i Ukraińców. Problemem Korony było to, że w XVII stuleciu zabrakło polskiego Richelieu, a królowie woleli otaczać się wysoko urodzonymi dyletantami, którzy pierwsi gotowi byli paktować z królem szwedzkim, carem czy Habsburgami. Języka polskiego nie uczono się na kłęczkach, jak to później w odniesieniu do swego języka

KRESY

Adam W. Kalik

praktykowała Rosja czy Prusy, to hetman litewski zabierał Sobieskiemu litewskie chorągwie i odjeżdżał z pola bitwy, jakby znajdował się na pikniku. To Litwa dawała marne pieniądze na powstanie listopadowe, by po jego upadku zapłacić carskiemu gubernatorowi olbrzymią kontrybucję.

Polski ortodoksyjny katolicyzm XVII wieku znalazł odpowiedź w antypolskich wystąpieniach prawosławia, które zresztą i bez tego gorliwie służyło carom w ich polakożerczej polityce czasu zaborów. Trudno dziś wymierzyć te zależności i implikacje — narody mają długą pamięć: o wyczynach prawosławia w XIX wieku świetnie pamiętali Polacy, budując II Rzeczpospolitą...

Po czasach bigoteryjnego siedemnastego stulecia pozostały setki pięknych klasztorów i kościołów, nawet w miejscach jeszcze dziś trudno dostępnych. Ale ja wolę myśleć o umiarkowaniu renesansu, który fundował nie tylko kościoły, lecz i przy każdym z nich szkółki, w których uczyły się dzieci „chłopków” — także i z tego powodu odrodzenie każe mówić o sobie jako o najświetniejszym czasie, jaki przeżyła Polska. Czy wówczas pytano, czyją sprawą jest budowanie szkół, jak to ma miejsce dzisiaj?

Nostalgia Wschodu. Płaski, zdawałoby się monotony pejzaż. Kresowa Litwa, pofałdowana leśnymi pagórami, upstrzona setkami jezior, kojarzy

się z krajobrazem Finlandii. Jak się do niej mają poleskie błota i mokradła, tak ciepło opisane przez Rodziewiczównę, wyszydzaną do dziś przez krytyków, a przecież wciąż zacytywaną (dlaczego?). A pszeniczne, rozkolysane kopce i płaszczyzny Ukrainy z sześcioma tysiącami polskich majątków po prawej stronie Dniepru? (Dane odnoszą się do czasu sprzed I wojny światowej i nie obejmują kilkudziesięciu-sięczonej rzeszy szlachty zaściankowej).

I wreszcie, kto wie, czy nie najważniejszy powód tęsknoty: cząstka polskiej kultury, cząstka siebie, którą tam zostawiliśmy na przestrzeni ostatnich siedmiuset lat. Dziś, kiedy Europa z zapalem buduje wspólny dom bez podziałów i granic — przedzaj czy później do niemal gotowego skrzydła zachodniego dobudujemy i wschodnie — piszę bez obaw, że mogą być posadzone o terytorialny rewizjonizm, ekspansję, że użyję wyświechtanych terminów wyświechtanej ideologii.

Co by się powiedziało, w Wilnie, stolicy Litwy, wciąż żyje niemało Polaków. Miasto było tak długo związane z rdzenną Polską, że w jakiejś mierze — myślę, że w dużej — nosi polski charakter, zaczynając od architektury, a na (siedemsetletniej) historii kończąc. To samo tyczy Lwowa, tego samego Lwowa, w którym jak niegdys żyją Ukraińcy, Polacy, Rosjanie, Żydzi, Niemcy, Ormianie itd., itd. Lwowa, który powodował swoją aurą, iż tak odporna na wykorzenienie nacja jak Niemcy spolszczała się z pokolenia na pokolenie, dając nam, nie Germanom, całkiem niezłych poetów. Lwowa, który jako jedyne miasto Rzeczypospolitej wypisał na dachu dworca kolejowego: Leopoldis semper fidelis (Lwów zawsze wierny). Litwini czy Ukraińcy mogą kręcić nosami, ale to polscy królowie dali obu miastom uniwersytety.

Mnie nie przeszkadza, że Mickiewicz, do którego zgłaszają pretensje Litwini i Białorusini, zaczynał polską narodowy poemat słowem „Litwo”... Nie mam cienia niechęci do Czesława Miłosza, że z uporem podkreśla: jestem Litwinem, że wreszcie Vincenz żył na moldawskich połoninach. Jestem w pełni ukontentowany, że ci i inni wielcy ludzie kresów mówili, myśleli i pisali po polsku. Twierdzenie, że nie-Polacy tworzyli polską kulturę i sztukę, nie powoduje we mnie nabierania kompleksów, przeciwnie, w tym widzę wielką siłę, wielką magię i moc przyciągania do siebie polskiej kultury. Ze jest to proces wciąż żywy, najlepiej świadczy fakt, że na Litwie, Ukrainie i Białorusi ludzie uczą się naszego języka z polskich gazet, przypadkowych książek czy słuchając naszych audycji radiowych. Powinniśmy im pomagać nie tylko w tej nauce, także w budowie własnego, opartego na narodowych aspiracjach bytu.

REWOLUCJA PUSTYCH ŻOŁĄDKÓW?

Henryk Sieńko

TEMPO zmian nastrojów społecznych na polskiej wsi jest tak szybkie, że reporterowi tygodnika trudno nadążyć. Jeszcze trzy tygodnie temu można było porozmawiać z chłopami o przyszłości, o poszukiwaniu dróg ku zasobniejszej Polsce, ku lepszemu... Mieli nadzieję, że w dobie totalnego braku żywności rząd będzie im pomagał, bo tylko oni mogą kraj wyprowadzić na prostą.

W styczniu nastroje wśród rolników były wręcz dramatyczne, jeszcze gorsze niż rok temu, kiedy strajkowali, wylewając mleko do rowów. Co bieglejsi w rachunkach wylczyli już, że wszelkie „programowe” wyzerczenia Balcerowicz pomnożył im przez trzy. Trwa masowe wyrejestrowywanie ciągników, rolnicy planują wyżyć się stad rozrodczych krów i świń. Od stycznia nie ma popytu na środki ochrony roślin, nawozy, pasze... Co niektórzy twierdzą, że będą musieli sprzedawać maszyny, żeby zapłacić podatek, światło; o kupnie węgla nikt nie mówi, będą palić drewnem!

A jeszcze niedawno mamiono ich rozwojem i przedstawianiem przemysłu na produkcję dla potrzeb rolnictwa, obiecywano pomoc, dotacje, preferencyjne kredyty...

„To była walka klasowa o władzę! — mówią z goryczą chłopci. — Wykiwano nas. Teraz, jak już dorwali się do stołków i sejmowych ław, w dupie mają wieś! Więcej się mówi o powrotach z zagranicy upadłość, że żarty się skończyły. Ze opłacalność ho-

i odbieraniu majątków, o więzieniach, niż o producentach żywności...”

Miarą goryczy stał się Zjazd Solidarności RI. Nikt z rządu nie pofatygował się, żeby posłuchać rolniczej debaty. W Sejmie, w czasie dyskusji o opłacalności produkcji rolnej, sala pustoszeje... Wypowiedzi są tonowane, trudności splanane.

„Nie ma co owijać w bawełnę — słychać na punktach skupu, w sklepach. — Nikt z nas nie życzy Mazowieckiemu źle, ale wydaje nam się, że on podcina gałąź, na której siedzi!”

Rzeczywiście, sytuacja staje się dramatyczna. Byłem niedawno u najlepszego hodowcy trzody chlewniej w woj. chełmskim, inż. Jana Galana z Zakręcia. W ubiegłym roku sprzedał państwu 4500 kg żywca z ha. Dziś obliczył, że do każdej sztuki, która mu została, dołożył już ponad 70 tys. złotych. Chce się czym prędzej pozbyć trzody, ale czeka jeszcze na podwyżkę cen... Podjął już decyzję — likwiduje hodowlę. Obora stanie pustką. Myśli wprawdzie o jakimś interesie, ale nie teraz. Splacił w styczniu dług, jest goły. Stoi jak słup. „Nikt nie weźmie kredytu na obecnych zasadach — mówi. — Program Balcerowicza jest antyprodukcyjny!”

Inż. Jan Galan ma tylko jeden hektar ziemi. Swego czasu trzymał i po 150 sztuk trzody. Obecnie mówi się, że podobne gospodarstwa muszą ogłaszać z rewolucji to rewolucja pustych żołądków?!”

dowli trzody zaczyna się od 100 sztuk wzwyz (?) . Niestety, także rolnicy mający i po 10—20 ha nie interesują się produkcją żywca i wołowiny. Twierdzą, że roztrwoniliby wtedy gospodarstwa w kilka lat.

U wielu narasta poczucie zagrożenia, panuje apatia, stan wyczekiwania... Ale już pierwszy kwartał — moim skromnym zdaniem — pokaże, czy za rok będziemy mieli co jeść. Wieś przetrwa, chłop nie sprzeda tak szybko dorobku swego życia, nie mając nadto żadnych innych perspektyw. „Ziemia to majątek na czarną godzinę!” — powtarzają w kółko starzy rolnicy.

Wieś dalej produkuje, sprzedaje często poniżej kosztów wytwarzania, ale jednak. Rolnik produkuje żywność, lecz zanim ona trafi na stół, przejedzie setki kilometrów, wymiętoszą ją setki rak, dziesiątki handlowców będzie podnosić co kilka kilometrów cenę.

To nie rolników powinno się zmuszać do porzucania swoich warsztatów pracy i poszukiwania innego zajęcia, to sfory handlarzy i pośredników trzeba by przymusić do produkowania dla wsi sruń, bron, pługów, gwoździ, a także środków ochrony roślin i części zamiennych.

Tymczasem na wsi pojawiło się nowe zjawisko. Na sklepach, drzewach, słupach wisi mnóstwo ogłoszeń o sprzedaży ciągników, doजारek, siewników, nawozów. (Ogłaszają się nawet składnice maszyn rolniczych). Pieniądże z buraków poszły w dywany, resztki zabrały banki za długi. Teraz trzeba będzie latać dziury sprzedawaniem dóbr produkcyjnych. Wydaje się, że na jakiś czas rolników mogą uratować spółki, wspólne przedsiębiorstwa, zespoły, grupy działania...

Rozmawiałem niedawno ze znajomym lekarzem, którego brat jest rolnikiem. Powiedział: „Na wsi wybiła czarna godzina!”. I dodał: „Dziwi mnie, niby mądry rząd, a ucieka od produkcji żywności, czyżby nikt TAM nie wiedział, że zwykle najkrwawsza z rewolucji to rewolucja pustych żołądków?!”